

dworze. Braliśmy wtedy jedyne malomiatstewkowego fotografa, którego poufale zwaliśmy „mistrzem”, i całą kolorową, gimnazjalno-akademicką gromadą szliśmy pod pałac. Brudne, przykucnięte tło domków miasteczka wydawało się nam jakieś mizerne i zbyt ruchliwe gawiedzią dla uwiecznienia na nim związków naszej młodoci. W bramie pałku wszyscy jednak odczuwaliśmy niejasny niepokój, ciche ryzyko tych „ładnych zdjęć”. Nie wolno było pokazać koleżankom, że boimy się nieprzyjemności.

Nie były one tak piękne jak dziewczęta ze dworu. Tamte były jakoś stonowane, poważniejsze, nigdy za błyskotliwe, utrzymane w połowie dwóch mod: minionej i nadchodzącej. Raz do roku i nie na całe przyjeżdżały wakacje. Bywały jeszcze gdzieś po innych dworach. Razem szły do kościoła, razem jeździły na spacer linijką, nie miały wśród nas koleżanek i kolegów, nie należały do naszego związku „polskiej kształcącej się młodzieży” i nigdy nie przychodziły na nasze przedstawienia. O, nasze dziewczęta były może piękniejsze, ale tamte były jakieś inne i niedostępne jak artystki teatru. Siadały w kościele pod samym ołtarzem, w kolatorskiej, wiśniowej ławie. Książki czytały ewangelie, a one podnosiły się wysokie i dostojne. Nigdy nie patrzyły na ludzi w kościele i nigdy nie zęgnęły się jak chłopcy ręką na piersiach, ale kciukiem czyniły drobny, niedostrzegalny znak krzyża na czole i ustach. Przy końcu mszy pierwsze wstawały z ciężkich, pełnych złocen ław i gdy baby klęczały jeszcze w powtarzających się stopniach litanii — przez zakrytą się wychodziły przed wszystkimi z kościoła, jakby nie potrzebowały śpiewać ostatnich „niechaj będzie pochwalony”. Po mszy ludzie wystawiali jeszcze na rynku, spacerowali po jedynym płytami wyłożonym chodniku obok magistratu, politykowali trochę, one szły prosto do dworu, z nikim nie zamieniając słów ani spojrzeń, znikaly w głębi motylami nakrytego parku — wiśniowe, wysokie, do długich wałek podobne podlotki. Pokazywano je sobie po cichu wzdłuż całej drogi do dworu.

Czasem w któreś lato towarzyszył im nieznanu tu nikomu pan. Było ich w mojej młodoci kilku. Zawsze jakoś inaczej, dziwniej niż my ubrani, zwykle nie sięgali czterdziestki. Mówiło się o nich „to ze dwora” albo „państwo ze dwora”. Nigdy nie widzieliśmy o nich niczego więcej i mówiliśmy tak jeszcze długo wtedy, kiedy majątkiem „hrabiego” Uznańskiego administrował już jeden z okolicznych, zawodowych dzierżawców. Osiedli on w modrzewiowej rządcówce i krewni jego, pospoitsi niż krewni „pańscy”, w proporcjonalnie większej ilości i częstotliwości zjeżdżali teraz do dworu. Był też „raptus” i też był „po mordzie”, ale rzadziej niż Uznański. Nie było już wtedy w okolicy sensacji. I nie zajeżdżał już cugową bryczką pod kościół.

Dawno, dawno, jeszcze przed „tamnymi”, nieznanymi paniami, ilekroć prowadzono nas parami do kościoła, mijaliśmy koło muru cmentarnego to żółte, ślicznie wygięte pułdo z delikatnym aksamitnym oparciem i dziwnego stangreta. Z pałacu do kościoła było nie więcej niż sześćset metrów i żółta, spod stopni pałacu prawie pod ławkę kolatorską podwożąca pana bryczka stanowiła dla nas nieosiągalną i niesprawdzalną w kręgu naszych złoconych dróg i kurzysk miarę dostojństwa. Z ojcem przyjeżdżał zawsze bryczką do kościoła Adaś — panicz. Siadywał daleko pod ołtarzem w kolatorskiej ławce, na osobnym miejscu. Miał tyle lat co my, ale nie chodził z nami do szkoły, nie stał na szkolnej mszy w parach wzdłuż ławek. Miał we dworzec bony i nauczycielkę. W krótkich spodniach poza kolana, wykładanej marynarce, żółtych, wysoko sznurowanych trzewiakach, był zawsze jakiś wyższy od nas w prezbiernalnej, paroma stopniami w górę uniesionej ławie kolatorskiej, dostojniejszy równiutkim przedziałkiem nabrylantynowanej fryzury, doroslejszy skrzając się w blasku świec szpilką na szerokim, dumnie do przodu podanym jedwabnym płacie krawata. Adaś rósł jakoś szybciej od nas, konno jeździł z dziewczętami ze dworu na spacer i polowania, miał strzelbę i strzelał w parku. Kiedy przed szkołą czekaliśmy na egzortę czy zbiorke do kościoła, chłopcy mówili przeważnie o Adasiu. „Widziałem — Adaś pojechał... Adaś zabił bazyliant... Adaś strzelał, Adaś zbił bonę”. Ale Uznański zbankrutował i matka, z którą ojciec nie żył, zabrała Adasia do swego majątku.

Długo nie widziałem go od tego czasu. Poszedłem do gimnazjum. I nagle w wielkim mieście spotkałem Adasia. Stał obok nieruchomego, wysokiego pana i smukłej pani. Zatrzymałem się. Nie mogli to być jego rodzice. Wszyscy pamiętaliśmy tęgą, łysawą postać jego ojca. W dodatku u pana tego nie widziałem grubej łaski, którą kolator obchodząca poła zawsze nosił przy sobie. Nie była to chyba także matka Adasia, ta przesadnie uszyta i przycięta pani. Tylko Adaś miał ten sam przedziałek, te same na zawsze zaczesane włosy, ten sam płaszcz, te same obójnetne, bezbarwne oczy. Nawet martwy, odgięty ruch w którymś takcie towarzyskim zastygłej ręki był jednym z jego ruchów, wszystkie złożone obok niego ubiory — jego szatami. Staliśmy tak długo wpatrzni w siebie po dwóch stronach olbrzymiego, jak okna pałacu, szkła szy-

by wystawowej. Odnalazł się, ale nie zmienił za ten czas. Był znów niedostępny, może tylko bardziej rżowy w kolorach twarzy — nasz panicz Adaś.

Leżało to już w wychowaniu rodzinnym to poszanowanie fotografii spod pałacu. Tak jak siadywanie w kolatorskiej ławce na rannych, nieuczęszczanych przez „państwo” mszach — zdjęcia spod dworu wywyższały, umieszczały i hierarchizowały w tradycjach. Wpisywały nade wszystko w tutejszą historię, której nożytne dzieje otwierał gdzieś tam daleko marszałek krajowy. Nagła jego śmierć w poddługu pospiesznym w Doué pod Paryżem i śmierć jego żony w hrabstwie tyczyńskim — w ciągu jednego roku zamykają tę pierwszą epokę. Prócz ołtarza św. Józefa kolatorzy tutejszego kościoła zostawiają chłopom prostokątną, w terakotę pałacu wysoko wmurowaną tablicę: „R. P. 1869 ukończyli dom ten Ludwik i Jadwiga z Zamojskich Wodzicy jecit Pokutnyjski”. Wpisana niedaleko attyk w ozdobną, podnoszącą drugą kondygnację dachu ściankę kremowej secesji, dokładnie wskazuje w terakocie Brausewettera z Wagram kierunek architektoniczno-rodowej osi pałacu zbudowanego w nowonabytej posiadłości „państwa” — dwa koronowane, małżeństwem złączone herby: półkociz Wodzickich i trzy piki Zamojskich. Któryś z proboszczów dodaje kolatorom w kościele jeszcze jedną wspólną tablicę — złotymi cyframi zapisując na białym marmurze daty śmierci: 1894 i 1895. „Wieczna pamięć” o kolatorze ma odtąd towarzyszyć duszom parafii, pamiętającą już „pobożnie” — „Dziedzica włości tutejszych I. W. Jana Klemensa Branickiego Hetmana W. Kor.” Przed pałacem ustawia się do fotografii książkę Janusz Radziwiłł „Czarny”.

Córka Wodzickich Izabela bierze niedługo separację z niezbyt szczęśliwą partią: książkę namiętnie przegrzywa i swoich i jej chłopów w lazurkowych kasynach gry, ratując się w dodatku przed wyschnięciem „możliwości” majątkowych fałszywymi weksłami. Za milion koron kupuje posiadłość ostatni szlachcic w „państwie tyczyńskim” — Witold Uznański. Kupuje wszystko: pola, lasy, stawy, ryby, pałac z gobelinami, obrazami, meblami, biblioteką, nawet papiery i archiwum Radziwiłłów. Sto tysięcy koron jest pierwszą i ostatnią sumą wpłaconą córkom Izabeli, jedynym i ostatnim jego wkładem w majątek. O resztę rozpoczynają się procesy. Zasada: żadnego wkładu, wszystko, co się da — wyciągnąć, staje się odtąd panującą w hrabstwie tyczyńskim. Nie remontowane nigdy stajnie i szopy wała się w czasie burz. Jest szopa i nie ma szopy: zjawiska takie zachodzą w hrabstwie z nocy na dzień. Ogień niszczy chmielarnię, upada gorzelnia — hrabstwo otrzymuje asekurację. Dla Uznańskiego równa się to korzystnej sprzedaży obiektu. Równocześnie do ostatka prowadzi on dziką parcelację. Każdy za gotówkę może kupić u niego grunt i w której części majątku chce. Przez dwadzieścia niepodległych lat międzywojennej Polski konkwistador szlachecki i ostatni pan na Tycynie — z pasją, z szero- kim, szlacheckim gestem procesuje się we wszystkich instancjach sądowych i we wszystkich miastach tych instancji z Rzeczpospolitą o... zaległe podatki. Składa „protestację” za „protestacją”. Zaległości podatkowe szlachcica rosna z roku na rok, ale państwo rozmawia tu jak równy z równym, jak z równorzędnym włodarzem „państwa tyczyńskiego” i nie zabiera równemu sobie, żadnych podatków nie płaćącemu dłużnikowi ostatniej krowy.

„Ostatni pan” jedynie na podatkach zarabia trzy miliony złotych. Winien jest z procentami pięć. Majątek wart jest dwa. Szlachcicowi optacają się tylko procesy, tylko „protestacje” — kosztują go daleko mniej niż podatki. Buszując po wszystkich urzędach, awanturuje się, jest postrachem urzędu ziemskiego, postrachem poważnym i szanowanym — hrabia, dziedzicem. Wszyscy się go boją: jest niebezpieczny, „nerwus straszny”. Bije „po pysku” urzędników, adwokatów i świadków na korytarzu sądowym, strzela z rewolweru, ale później płaci lekarza i „za ból”. Komentant postronku, sędziowie, adwokaci, wszyscy przez wielkie, nadrzędne państwo polskie delegowani do państwa tyczyńskiego urzędnicy pomagają „ukreścić”, „zalażodzić sprawę” — nie można dopuścić do skandalu. W końcu sąd oddaje państwu pod przymusowy zarząd ogromne, milionowe długie podatkowe, sumy zaległe córkom Radziwiłłów i sumy zaległe jeszcze przez Radziwiłłów w bankach, oraz sumy najnowsze wobec samorządu i służby, czyli hrabstwo tyczyńskie w zło- dziejskiej ruinie. Ale nagrobek ruina otrzymuje w pięknym, obywatelskim języku: „zadłużona, ziemianka gospodarka”.

Jeszcze dziś w Rzeszowie sędzia, który częściowo prowadził sprawę Uznańskiego, odpowiedział na zarzut nieudolności władzy wykonawczej słowami przekazującymi piękno jakiejś dalekiej uległości i zahamowania:

„Lepiej było z nim nie zaczynać. Miał wszędzie znajomości. Jechał natychmiast do Warszawy — z każdym wyrokiem, z każdym orzeczeniem i z ministerstwa przywoził zawieszanie, nakaz rewizji. Mógł zaskądzić. Nic sobie z niczego nie robił”.

Ostatni pan na Tycynie.

„TO BYŁO COŚ NIESLYCHANEGO W DZIEJACH...”

Trudno mi było rozmawiać z tym człowiekiem. Nie mówił. Przemawiał. Nazwisko jego często padało w rozmowach o gimnazjum. Osiedlił się tam z parcelacją. Znajomi w miasteczku mówili często o nim — „zacięty ludowiec”. Myślałem, że jest starszy. Może pociągła twarz i lekko nastrozony jeź czyniły go młodszym. Wszedł do skromnego pokoiku sekretariatu, kiedy toczyła się już moja rozmowa z dyrektorem. Rozłożył na kolanach zgięty, wypełniony rubrykami arkusz i nie od razu reagował na niespokojne pytania. W paru momentach zabrał mu słów na bliższe określenie tego, co odczuwał, co przeżywał z gromadą, ale co mieściło się poza fizycznym doświadczeniem chłopskich rąk. „To było coś, to było coś...” — urwał, zebrał się w sobie na wprost nas. Czekaliśmy. Krótkie szukanie przeszło w daleki wydech ponad nami: — „nieslychanego w dziejach!”

„...Gońcy rowerowi byli stale do mojej dyspozycji. Młodzi chłopcy. Setki szli na rękę, dawali podwozy, sami jechali...”

Usiłowałem ominąć rytm rubryk sprawozdania. Ale cyfry i daty nastąpiły szybko. Opanowały punkty wyjściowe zamierzonych poszukiwań w głąb tego, co się tu stało. „Trzeba mi dziesięciu, piętnastu ludzi do usuwania gruzu, do pomocy murarzowi, stoły zbić... gromady dawały...” Byliśmy u wstępu. 26 lipca — to wypadło po Marii Magdalenie, w żniwa. 26 lipca chłopskie ręce przestają dusić dworki. W sam gorący czas, kiedy trzeba zwieźć snopy do stodół, w czas naprężonego, całorocznego obrachunku, co się będzie jadło i czy starczy na przyodziewek, chłopcy zaczynają wywozić z pałacu gnój, gruz i śmiecie.

„Dwieście dwadzieścia osiem fur samego świństwa, panie! Pracowali darmo i dawali pieniądze nie tylko chłopcy, ale i rzemieślnicy, murarze, stolarze, ślusarze i kominarze. Sto pięćdziesiąt trzy tysiące złotych robocizny i osiemdziesiąt dwa w gotówce. Jedne gromady dały do szesnastu tysięcy, inne po pięć, trzy — jak popadło. Próbnę wpisy przekroczyły o wiele ilość miejsc”.

Chłop nie objaśniał rubryk, mówił co, nie mówił dlaczego. Jakby tylko to było ważne — to, co mieściło się w zasięgu robocizny chłopskich rąk. Przecież wpraw rozdarli ten pałac i tę rządcówkę, wywalili starę, dębowe drzwi i zdobne okna. Wylupali mu oczy, wypruli, wywrócili wnętrzności: zdarli kilimy, dywany, makaty, brali komody, szafy, fotele, książki, krzesła, stoły i ławy. Wojsko strzelało, wysiedleńcy wiażali u marmurowych kominków konie i krowy. Dramatycznie zamykało swój dziejowy obrachunek z „państwem tyczyńskim”, „dziewiętnaście wsi do niego należały”. Zadne „zabezpieczające” zarządzenie nie zdołało w porę pochwytać ani skutecznie postrzymać twardego jak pańszczyzna pożegnania chłopów z siedzibą „panów na rodowych Branicach, Ruszczy i Tycynie”. Dopiero to gimnazjum uśmierzyło chłopskie ręce duszące dworki. Teraz już ludzie nie dostrzegali, jak zakład ten zajmował w ich umysłach jakąś coraz ważniejszą pozycję. Jak przeżycia czasu budowy i losy synów w tej szkole wypierały coraz bardziej z myśli i z rozmów dworki i kolatorską ławkę. Z wy- czekującą, lekką ironią zamaskowaną rezerwą wskazywały drewnianą tablicę na murze parkowym, „A tu jest teraz nasz uniwersytet!” Osiem kilometrów od szkoły z emigrancka ubrani gospodarze kupowali słoninę u „takiego, co tu bił świnię” i sumitowali się, że w domu kilo idzie im na tydzień, ale dla chłopców na stancji musza dać więcej. I nieśli słoninę do miasteczka. Inni wyliczali, że taniej wyjdzie im z tego, co dają przez rok — kupić chłopakom rowery: latem jeździłby. Wyłaziły przy tym zawsze dziewczęta. Dziewczęta też gwałtem chciały pójść z chłopakami — do gimnazjum i do gimnazjum! Ale nie było „raz jeden” kogo zostawić w domu. Trafikant trafił się, że profesor K. dużo dwoj daje, że ludzie czekają, czy to tylko tak na wywiadówce... „nie wiedzieć, bo jakby fak było i na półroczu, to by było trochę przykro...” „Sama nie wiem, jak to się wszystko tego roku tak rzuciło do gimnazjum...” i nijak inaczej nie mogła odpowiedzieć mi nauczycielka szkoły powszechnej. W końcu w gadliwym, małomiasteczkowym sklepiku rosły, czerwony chłop przystawił mi do mnie: „Panie, tam z Budziwoja czterech takich chodzi, co wcale nic nie mają!” I „czterech takich, co nic nie mają” niosło się z resztą chłopców ważne i szarmancko, dziewczęta lotniej i śmieiej niż inne. A nie chodzący do gimnazjum zaperzali się znów: „My z nimi nie gadamy. One myślą, że jak już chodzą do gimnazjum, to są coś — wielkie państwo się porobiło”.

Gimnazjum budowało się tu wciąż i wciąż, rosło pośród serc i cyfr.

Podsunąłem najprostsze przesłanki chłopskiego wysiłku: szkoła ta jako jeszcze jeden sposób podziału roli, wyposażenia „czterech takich, co nic nie mają”. Sprowokowałem. Zaperzył się, prawie uniósł. Energicznie przecząc — „dlaczegożby tylko miasto! A wieś to nie należy do kultury?! Podnieść, wyrównać to, żeby chłop stał się” — słowem „równy” — twarde pogrzebał moją myśl.

Szczupły, drobny dyrektor ożywił się, podniósł głowę znad szachownicy wymiaru lek-

cji. Schował z powrotem do portfela wycięte z gazety, jedyną w gimnazjum podobnie Orkana, przysunął się znów bliżej: „Słuchajcie, wy tam jeździecie po świecie... nie moglibyście wydobyc gdzieś jakiejś fotografii Orkana? Dzieciaki ciekawe! Przecież patron...” Przymknął onegdajszą zawieję. Dęło i dęło z zachodu. Wiatr zmiótł śnieg z pola na szosy w kotlinach, zawałił gościńce zaspami. Myślał, że nikt nie przyjdzie. O ósmej podeszły pod pałac białe mikołajki. Ież zasp przebrnęły od ciemnej nocy, w której musiały wyjść z domu!

Zegary? Czasem słyhać, jak dzwonią w kościele na południe, czasem nie. Do czego tam zresztą nastawiać do minuty zegar na wsi — do młocki, do pojenia krowy?

Drogi!... Przez błota, łąki i wawozy, raz suche, raz zalane... Tu nie można wymierzyć naprzód. Jak powiązać te trzysta chałup z działów, z potoków i skał w jedną osmą godzinę? A jednak przyszły. Albo takiemu dziecku, które nigdy nie widziało globusa — tłumaczcie, że ziemia jest kulą i że ta woda nie wylewa się. Jak ma zapamiętać granice cesarstwa rzymskiego, zasięg szczerpów słowiańskich, kiedy nie ma map. Z podręczników dostaliśmy tylko polskie „Mówią wieki” — to skrytowane wydanie. Książek nie ma... to najgorsze... biblioteki. Czytałyby wszystko. Są książki na wsi. Stąd, z dworu. Ale nie chcą oddać.

Wyobrażenia i skojarzenia gimnazjalne zyskiwały już belkowanie i wiazania. Do rozmowy wtrącił się tercjan. Na jego czerwonej, drobniutko siatkowanej twarzy widać było „gryt” starego podoficera zawodowego. Wprowadził hufiec szkolny na pierwsze miejsce w województwie. To była piękna defilada tu w tym parku! Stał obok, nie chciał siadać. Teraz znów dobrze się wyrwał. „Panie, jak nie ma pieniędzy na czesne, to ojciec przyjdzie drzewa porznąć, albo odrobi przy murarzu”.

Chłop jak gdyby czekał z odpowiedzią: „Ja też apeluję do nich, żeby my nie zostawiali w tyle takich typów! I proszę: (znów poszukał w arkuszu) Budziwoj dał trzy tysiące na stypendia. Kielnarowa dwa tysiące pięćset...”

Do dwustu złotych dochodzą tu opłaty miesięczne. Któraś dziewczyna zapłaciła za wszystkie książki „na pasku” cztery tysiące. Iluż tedy „takich typów wcale bez majątku” mogła uratować stypendyjna „apelacja” tego idealisty? Jakież dni budowała wszystkim dzieciom chłopskim w miejscach przedwojennych, kiedy do zdawki do gimnazjum rzeszowskiego otrzymywał wcześniej świadectwa kilku synów urzędników i paru synów kmieci?

„Pójdiesz do wielkiego świata” pisała wtedy do mnie popod ławkę dziewczynka z sąsiedniej wioski. Byłem po szczenięcemu dumny i żal mi jej było zostawić. Wiedzieli, że „nie wyjdą już na pana” — zostawali w tej samej szkole, w swoim „małym świecie”. Czerwonymi, grubymi kociakami wycinaliśmy pierwsze litery naszych nazwisk i imion w lesie na dębach i u góry dodawaliśmy literę K — koledzy. Tak przyrzekaliśmy pamięć towarzyszom zabaw, którzy nie szli z nami do szkół. Dęby rosły, nacięta miazga zalewała litery, ale tak już było, oni nigdy się nie kształcili.

Na amatorskich przedstawieniach na wakacjach spotykaliśmy się z nimi jeszcze raz. I z ładnymi, nagle wyrosłymi wiejskimi dziewczętami, naszymi „miłośnikami” z trzeciej i czwartej klasy, które kiedyś pisały do nas „pójdiesz do wielkiego świata”. Pożyczaliśmy im książki i to było wszystko, co mogliśmy im dać w zamian tych szkół, w jakimś smutnym rozstaniu, w zawiedzionym poczuciu, że je „zostawiamy”. „Bélki” przybierały, kólnierz ze srebrnego stawał się złoty. Był w tej ostatniej korespondencji, w tym obumieraniu rówieśnic jakiś zgrzyt. Uległy, z góry odpadły. Czasem jeszcze, wstydząc się wprost, pytałyśmy sąsiadów o nie we wakacje — czemu ojciec nie daje jej kształcić?

Tej zimy nie pamiętano już dobrze jej imienia. Oczy jedyna w klasie miała piwne. Mówiono mi, że umarła. „To będzie ta. Była tak w pańskim wieku... siostra żyje”.

I odtąd już problem państwowienia tego, co się tu stało, krzyżował się nieustannie z opowiadaniem chłopca, wtrąceniami tercjana i dygresjami dyrektora.

Odejmował czesne. Szeroko wywalał dzieciom „drogę do wielkiego świata”. Wyposażał w przybory i pomoce naukowe, dając możliwości szybszej interwencji państwowego planu oświatowego, łatwiej mógł giąć to ogólnokształcące gimnazjum ku fachowej przyszłości. Ale stawał niezliczoną ilość dalszych pytań:

Jak upaństwić to, co się tu stało, żeby nie gasić tego, co jeszcze ciągle ma tu swą żywą, pulsującą terażniejszość? Jak nienaruszenie włączyć ten burzliwy samorodny chłopski wysiłek oświatowy, to nieustannie w chłopskich rękach rosnące gimnazjum w ogólnopaństwowo prąd oświatowy? Jak upaństwić to przez dziejowy 1944 rok wsi polskiej zrodzone gimnazjum, żeby nie stracić, nie osłabić twórczego wysiłku chłopów planujących we dworzec szkole, darmo rżących dla niej drzewo, tynkujących ściany, radosnego trudu dzieci znoszących krzesła, jak zachować i pomnożyć ich radość tego czasu, ich twórcze przeżycie tej pierwszej budowy — dla tysięcy następnych szkół?

Franciszek Gil

HALINA MARIA DĄBROWLSKA

PRZEZ OKNO

Zawsze zjawiał się starannie ubrany, już na tej granicy, kiedy to się staje wyszukana elegancją. Ale nawet jego nieskazitelny mundur nie miał swobody istotnego wykwiutu, tylko pychę twardej konturów i przejawienie koloru. To, co cechowało ubiór, było łuną na twarzy obrzmiałej od dumy. Zjawiał się o dziwnie dokładnie ogolony, paznokcie jego były pieczołowicie szlifowane. Nosił złote spinki i na palcu w pierścieniu wielki brylant. Więźniowie widzieli to i pamiętali.

Miał też dużo złotych zębów. Niektórzy spośród skazańców słyszeli już, że trupom z obozu wyrwa się złote korony i oddaje do przechowania w obozie. Często ukazywanie się między Fryca wargami złotego metalu na prowadzało myśl, jak gdyby Fryc wyjął nieboszczykowi szczękę i włożył je w swoje usta. To, co obnażało jego dziąsła, nie było uśmiechem, raczej skrzywieniem. I nigdy nie można było być bezpiecznym, czy grymas ten nie zwiastuje czegoś, co jest złowrogie.

Jednak Fryca ruchy, zachowanie wskazywały, że pochodził ze sfery uprzywilejowanej, zapewne zamożnej. Prawidłowe rysy mogły budzić zaufanie, że istnieje ład wewnętrzny, odpowiadający ładowi proporcji czoła, nosa, ust.

Pomiędzy sobą a więźniami, nawet pod władnymi Niemcami, stwarzał ogromny dystans. Nie było to już powszechne dla wszystkich Niemców przekonanie o wyższości swego typu, narodu, rasy. Wchodziła tu potrzeba pychy własnej, osobistej, zamkniętej do brymami manierami, zawartej w obelżywym spojrzeniu oczu, noszeniu głowy, odęciu warg.

Człowiek zdolny jest odtworzyć typ, który sobie wybrał. Niemcy byli tego przykładem. Najpierw powstawał wzór, dopiero później w tę formę wchodził człowiek. Fryc każdym krokiem swoim ustalał nadrzędność. Patrząc z daleka na niego i innych Niemców można by się pomylić i sądzić, że pycha ich może mieć jakieś usprawiedliwienie, lecz okazywało się, że nie ma żadnych podstaw — prócz oszustwa. Na każdym człowieku z osobną sprawdzał się system mający za podstawę fałsz moralny, a na zewnątrz po prostu poję.

Oficer bardzo wysoki, chudy, chodził pochylony naprzód jak ktoś za wysoki. Szczękę dolną miał wysuniętą naprzód, oczy przymrużone, wiecznie gumową laskę przy sobie. Laska wewnątrz operowała się na żelaznej sprężynie. Wzgardliwie, brodząc między więźniami, uderzał pejcem o cholewy własnych butów, przemierzał krokami małą przestrzeń na zewnątrz bloku, przeznaczoną do apelu. Uzurpowana władza jego wyznaczała miejsce jakże niskie tym o tyle przewyższającym go ludziom, lub po prostu tylko ludziom, gdy on przestał być człowiekiem.

Artur, Bernard, Bolesław i inni z tego bloku więźniowie zgadzali się na jego osobę. Poniżony czasem woli się ludzi, że jest jakaś przyczyna osobista czy społeczna tego, żeby być poniżonym, i ucząca względów tyranom. W obozie nienawidziło się wszystkich Niemców. Frycem gardzili więźniowie na równi z innymi kapo, czy blokführerami, lecz jednocześnie podejrzewali, że może dobre maniere pokrywają względniejszy do nich stosunek. Fryc długo się nie zdradzał z żadną zbrodnią. Znamienne było dla niego, że nigdy nie zbliżał się na tyle do więźnia, żeby go dotknąć bezpośrednio ręką, palką, nawet butem. Dotknięcie było za wielkim spoufaleciem, przejściem w kontakt z czymś tak obmierzłym jak Polak, Żyd. Kat zbliżając się do ofiary zacierał węży wspólności, — izolacja zdawała się zapewniać bezpieczeństwo tu obu stronom. Jeżeli Fryc zmuszony był wydać rozkaz kary, robił to poufnie, cicho i sam oddalał się natychmiast, z właściwej mu niechęci uczestniczenia w życiu więźnia. Chłosty w jego bloku nie stosowano prawie wcale. Kapo bili ukradkiem, poszturkując kijem. Paczki z żywnością doręczano dość sumiennie. Gdy więźniowie nie byli tak głodni miennie. Gdy więźniowie nie byli tak głodni jak gdzie indziej, mniej nienawidzili się, — jak poziom całego bloku się podniósł. Ci, którzy otrzymywali żywność od rodziny, lub organizacji, dzielili się z kolegami, którzy nie mieli paczek. Ludzie odżywnieni lepiej pracowali dokładniej, chodzili prędzej, mniej mieli na cielele wrzodów, ran, i — sprawniejsi — unicielele przewinień więźniów słabszych, dla których regulamin obozu był za ciężki.

Fryc prawie nigdy nie wchodził do izby; co innego widzieć więźniów na powietrzu, przy apelu, a co innego być w sztabie. Być w sztabie, znaczyło choć na chwilę podzielić ich los. Do tego się nie zniżał.

Zwierzchność nad blokiem utrzymywał niejako formalnie. Jednak wstrzemięziwa jego obecność zdawała się zapewniać więźniom pewien spokój. Rządy za niego sprawowali uczciwie kapo. Właśnie przybył nowy, mówiono, że syn jego przyjaciela. Był to chłopiec zepsuty i rozpieszczony, lubił pić po nocach. W kieszeniach nosił pełno łakoci i chwalił się przed więźniami, że dawał mu je Fryc. Na oczach skazańców zjadał bułki i tłuszczem, tak tu upragnionym. Pokazywał

w puszcze homara, zagraniczne owoce. Miewał też dużo pieniędzy i przedmioty złote, które szybko nikły oddawane za wódkę. Pijany, chwalił się przyjaźnią oficera i śmiał się, że Fryc jest chudy i już niemłody. Dostawał też od niego szykowne chustki i krawaty z najlepszego materiału.

Hansa błękitne oczy, jasna cera i prześliczne usta czyniły ładnym i wesołym. Jego kościec był foremnie wyrosnięty, mięśnie wysportowane. Nie troszczył się prawie o nic poza tym, żeby zjeść co najlepsze i upić się. Więźniów jakby nie dostrzegał, dlatego może nie był zły. Nie wdział ich nie przez pogardę, jak Fryc, lecz przez całkowite zajęcie się sobą. Nie był obowiązkowy, jego lenistwo kazało mu się wciąż kryć, ażeby próżnować, nadzór nad pracą skazanych zlecał innym kapo. Cień wielkiego Fryca, przyjaciela, chronił go od tego, że inni dozorczy na niego nie skarżyli; jego osiemnaście lat również go usprawiedliwiała. Gdy dyżurował wieczorem po apelu, już zwykle nie wracał spać do bloku i więźniowie mieli wolną noc od nadzoru.

W postępowaniu Fryca od pojawienia się Hansa nie zmieniło się nic. Pozostał tak samo daleki i możliwie poprawny wobec więźniów. Widział się go nadal nieskazitelnego w postawie i ruchach, jego zaledwie siwiejące włosy na skroniach stawały się bielsze, był jakby jeszcze obojętniejszy na to co się działo, nadrzędny wobec funkcji własnych i swoich rodaków. Gdy jego spojrzenie spotykało się z zuchwałą miną owego znanego mu dobrze kapo, stawało się dłuższe i uważniejsze. Lecz tylko tyle.

Aż dnia pewnego nastąpił fakt zupełnie niespodziewany. Późnym wieczorem zobaczyli więźniowie Fryca u siebie w sypialnej sali. Wszedł sam, bez asysty innych i pytał o dyżurującego kapo. Był nim właśnie ów młody Hans, który jak zwykle poszedł się upić. Fryc musiał już o tym wiedzieć. Na twarzy jego, zwykle tak powściągliwej, znać było pewne wzburzenie. Nic jednak nie powiedział. Nie chciał widać przed podwładnymi i do tego nie Niemcami zdradzić swego niezadowolenia.

W sztabie panowało wieczorne rozprężenie, tym swobodniejsze, że właśnie nie było nadzoru. Więźniowie powstawali z łóżek, rozmawiali ze sobą, koce w nieładzie zwisały z koki, ukradkiem palili tytoń. Paru grało w jakąś grę zastępczą zamiast gry w karty. Wymieniali pomiędzy sobą skrawki papieru i to już coś znaczyło i zajmowało ich biedny umysł. Na sali było bardzo duszno. Na siedemdziesięciu przyczach spało dwustu ludzi, nie palono w piecu. Mróz dochodzący do trzydziestu kilku stopni otaczał cały gmach zimnym pierścieniem. Więźniowie, którzy przemarli przy

robocie na dworze, mający często jeden koc na dwie, trzy osoby, radzi byli zaciszu ścian. Wiedzieli, że był rozkaz, ażeby otwierać okna, tu jednak skorzystali z nieobecności Hansa, ażeby okna zamknąć. Wejście Fryca wywołało popłoch. Wszyscy rzucili się do swoich łóżek.

Jeszcze nic nie powiedział, a już drżeli. Rozkaz nie był wydany, ale unosiła się już w powietrzu groza. Ze to był Fryc, ów zimny, wzgardliwy Fryc, to jedno mogło zabezpieczyć więźniów przed biciem.

On nie poniżył się, żeby do nich mówić, co dopiero uderzyć. Czy w tej masce zachowania ludzkości nie karząc ich? Bo rozkaz, tu w obozie, mierzył wprost w godność ludzką i ona przechodziła ciągłe próby. Słabe posłuszeństwo mogło ją tylko ratować, a to dlatego, że całkowicie posłuszny więzień nie rozumował. Działo się to najczęściej przez prymitywność umysłu i szybkość reakcji. Nie było tam miejsca na zwątpienie, analizę, żadnych zastrzeżeń wobec własnego stanowiska do wydanego rozkazu. Kto nie miał swojego zdania — lub miał jedno: za wszelką cenę zwierzchności się nie narażać — istotnie rzadziej był karany. Protest jednostek myślących stawał się nieodzowny. Po prostu nie umiały one inaczej przyjąć narzuconego polecenia, ażeby go nie osądzić natychmiast ujemnie. W obozie prawie wszystko co spotykało więźniów, nienawidzących Niemców i nastawionych do walki z przemocą, budziło sprzeciw.

Gdy który z nich umiał swoją reakcję ukryć pod maską i spełniał natychmiast rozkaz — mógł być niezauważony. Niech tylko człowiek, najczęściej wykształcony, musiał przewyciężyć w sobie bunt, ażeby zrobić, co miał zadane — to wówczas ociąganiem się podświadomym opóźniał wykonanie rozkazu — i tym się gubił. Sam więzień nie wiedział, dlaczego polecenie spełniał wolniej. Nie nadążał w porównaniu z innymi, bo w sobie pokonywał opór.

Ale poskramiacze zwierząt, dozorczy niemieccy, mimo że byli za głupi, żeby to zjawisko zrozumieć, — spostrzegali ten objaw. Gdy usłyszeli okrzyk: „przysiadac“, „padać na ziemię“, „podrzucac czapki“, „włazić pod łóżka“, „uderzaj sąsiada“, — patrzyli zaraz na inteligentów, by w ich twarzach śledzić drogę reakcji, ślad wrażeń, ukrywany, a jednak zawsze widoczny. Wahanie, a dalej zadanie sobie gwałtu, ażeby wykonać: upaść w błoto, zanurzyć rękę w kału, i odwrócić głowę, podczas gdy obok biją towarzysza — zawsze hamowało robotę.

Różne hasła mają różne czasy i narody. W Niemczech zadaniem ogólnym był gwałt

TADEUSZ RÓŻEWICZ

POSTÓJ

Mała, okrągła jak różowe jabłko
łoczy się na krótkich nóżkach,
podaje w dzbanie wodę,
patrzy modrym okiem.

Z dzbana, brązowego pnia,
tryska chłodny strumień,
jakby droga spalona na popiół
płynęła potokiem.

Bartnik złoży plaster miodu miesiąc,
uwikłana w brodzie brzęczy pszczoła.
Kapral Niedźwiedź
mlasnął szerokim jęzorem,
zatrząpał rękami
starszy strzelec Konar.

Komendant czyta mapę,
znaki konwencyjne i topograficzne,
po niebie płyną nieoznaczone obłoki,
skowronek bije na wieży wysokiej,
wznosi ją, buduje powietrzną, smuklejszą,
opada
i dzwoni w dłońach pastuska
na wierzbowej gałęzi.

W ogródku słonecznik się przekręcił.
Dziewczyna zwinna jak fryga
przystania oczy, odwraca głowę.

Kapral Niedźwiedź
oblizwał grubo stodki paluch,
grzmi, warczy:
odmarsz... odmarsz...

PACYFIKACJA

Czub sosny załoczył widnokraj
muśnięciem lekkim jak wiatr,
smugą czerwoną nad lasem
i głową wschodził dzień.

Wartownik kudłaty w kozuchu
kulakiem przecierał powieki,
by widzieć w głąb las,
szron zdmuchował z rzęs z drzew.

Pod górę po obłokach
wspinał się samolot. Wyżej
może stulił skrzydła i spadł
w niebo, znikł. Na lotkach błysnął
krzyż.

Zahuczał motor na trakcie,
zahuczały motory dokoła,
alarm

z gałęzi strącił lżejsze od echa
białe płatki śniegu, strzał.

Samolot wzbil niebo w górę,
pikował w dół,
salwą potrzaskał gałęzie,
drzewo rozpruła aż do rdzenia
białej kości.

Minęło południe. Na śniegu
długi modry cień. Schodził dzień.
W podłej wsi piał o zachodzie
czerwone koguty, a w lesie
umierały różowe echa.

— ten młody (rozstrzelany
w biegu, nim krzyknął)
niesie na usłach gwiazdkę śniegu
nie stopioną fchnieniem.

nad sobą, nad drugim człowiekiem. Gwałt, to bezwzględne posłuszeństwo. Tego wymagało od wszystkich — więc coś dopiero od więźniów. Ale zdarzało się czasem, że i ludzie prości dla jakichś powodów nie byli zdolni zaraz spełnić tego, czego od nich żądano. I tak się tu stało.

Fryc wyprostowany i w nieskazitelnym — jak zawsze — mundurze przeszedł między kojami. Wydawał się spokojny, tylko czasem lewy policzek podnosił się bliżej oka i nabrzmiewał. Więźniowie stali obok swych łóżek wyprostowani. Nagie ich głowy ukazywały, jak często czaszki mogą być niekształtne. Wielu z tych ludzi dawno nie golonych miało na brodzie i szczękach ostre, rzadkie włosy. Ubranie w pasy, dla jednych za duże, znowu innym sięgające do kolan, robiło ich podobnymi do kłownów. Twarze także, jakby nie należały do nich dawnych, obrzękłe od głodu, lub wyschłe, zastygłe ze strachu, były, już tylko twarzami zamkniętych w obozie, nosiły na sobie piętno skazańców.

Wszystkich zdziwiło, że Fryc nie krzyczał. Jego milczenie stawało się groźniejsze od słów. Mijał szereg prawy i w każdego stojącego zatapiał wzrok ostry niby nóż. W spojrzeniu było tyle pogardy, że prawie unieściał tego, na kogo patrzył. Zawrócił i obszedł tych, co zatrzymali się po stronie lewej. Każdego policzkował przymrużeniem oczu. Ale czymże to było dla tych zmęczonych, dla tych z dna. Ci więźniowie, którzy się nie dali złamać, starali się nie dostrzegać wrogów. Ktośkolwiek robił on, myślał, nie dotyczyło to ich — jakby wróg mógł się znęcać, lecz nie obrażać. Niemiec był poza obrębem człowieczeństwa. Zło samo.

Tak dwie siły pogardy mierzyły się z sobą. I kapo w obozie może znęcać się nieraz dlatego, że czuł bezsilność swoją, nieprzenikliwość w zamkniętej dumą dusze.

Fryc przedłużał spacer pomiędzy pryzkami sypialni tam i z powrotem. Czegoś szukał. Czy ukrytego za szeregiem Hansa? Ale go nie znalazł.

Nagle zatrzymał się przed pewnym więźniem. Naprzeciw niego stał młody chłop, brzydki i bezmyślny. Jego słowiańskie rysy, wklęsły nos, niebieskie małe oczy, duże usta na płaskich, żółtych zębach, twarz, która nie znała wcale mimiki — robiły z niego na pierwszy rzut oka prawie kretyna. Tak nie było. Tomasz spod Miechowa był dobrodusznym parobkiem, pracującym u zamożnego gospodarza. Pewnego ranka przyszedł na jarmark do miasteczka; nie wiedział, że przed paru godzinami zabito tam niemieckiego konfidenta. Żandarmi okrążyli plac i wszystkich mężczyzn zaprowadzili do więzienia. Przy badaniu, zapytany czy służy w wojsku, odpowiedział, że tak, bo czyż nie był żołnierzem w 1939 roku? W śledztwie zanotowano, że obecnie jest w tajnej, wojskowej organizacji i on to podpisał, nie wiedząc co zawiera protokół. Tomasz sam nie kłamał i wierzył w sprawiedliwość społeczną i boską i w to, że dobro jest nagradzane, a zło karane. Swój pobyt w obozie i w Oświęcimiu uważał za chwilowy. Dziwił się, że go niewinno biją, lecz nie protestował wewnętrznie. Mówił po polsku i czuł się Polakiem. Niemców nie lubił, bo nienawidzić nie umiał.

W obozie, jak w domu, spełniał pracę w Buni sumiennie. Pomagał słabszym, oddawał chleb głodniejszym, na nic się nie skarżył, był milczący ale pogodny. Znalazł klucz do pogodzenia się z losem. Dnie całe brodził po kostki w wodzie, i w taczkach, a czasem w polach piaszczą wynosił z dołów mokrą ziemię. Zawsze zdążył na czas wykonać co mu zadano. Był silny, gdy wyznaczono do ich płątki chorego — robił za niego i za siebie, zawsze milcząc i bez poczucia zaślęgi.

Wydawał się głupi. To nie była prawda, choć nie nie mówił mądrego, czynił rozsądnie. Nigdy nie wdawał się w sprzeczki, nie żądał żadnych przywilejów, czy wdzięczności za pomoc. Rozmowom poważnym przysłuchiwał się z uwagą i rozwijał się umysłowo. Posiadał trafny instynkt odróżniania co słuszne i realne od złudnego.

Artur lubił go serdecznie. Spali niedaleko siebie w kojach sąsiednich. Rzetelność Tomasz zastępowała wykształcenie. Ale rozum, który pomału zapalał się lampą w ciemnym umyśle, nie przenikał jeszcze do twarzy tępej i obrzękłej. Ta twarz była jak kora drzewa, jak dłoń człowieka, czy stopa — tylko organem przeznaczonym do spełniania funkcji — nie oknem duszy. O ile robota szła Tomaszowi łatwo i często był stawiany za przykład, to każde wystąpienie się napotykało na opór. Miał wadę wymowy. Jakaś się. To dawało mu często pozory głuptyka. Nim wypowiedzieć miał słowo, wydawał ostre dźwięki, które nie oznaczały nic, najczęściej były to samogłoski powtarzane z uporem. Znał już reakcje na to ludzi. Dobrodusznym pobudzał do śmiechu, złych złościł. W skromności serca przyjmował swoje kalectwo, jak swój los, z pogodą. Brał na siebie wszystko, co zostało przez przeznaczenie zesłane tak spokojnie,

Jak na plecy wory w kamieniołomach, gdy braki wagonów do odwożenia gruzów.

Stał teraz najbliższe okna przy swojej koi. Na zimnie nos krótki i szeroki czerwieniła mu, uszy od ogolonej czaszki odstawały, a twarz siniała. Był w tej chwili odrażająco brzydki, z czołem niskim i skróconym jeszcze poprzecznymi fałdami, które podkreślały ubóstwo tego umysłu, lecz nie serca i charakteru.

Nic jednak nie podważało wiary Tomasza, że wróci do domu, zobaczy się z rodzicami i ożeni się, bo pomimo 25 lat nie znalazł sobie żony. — Będzie lepiej teraz — zwierzał się czasem — uprawiać pole. Zastępuje odwodnienie terenu, czego się w obozie nauczyli.

Zapewne głębokie przeświadczenie o ocaleniu, nadzieja, że wyjdzie z obozu zdrów, dawały mu równowagę ducha.

W stosunku do Niemców i władz Tomasz zachowywał się bardzo powściągliwie. Nie szedł na żadne pochlebstwa. Niemców nie rozumiał zupełnie, nie tylko ich języka, lecz i ich postępków. Zwierzęcość postępowania była mu obca — miał na nie jedyną reakcję — zdumienie, bo gniew już był za osobistym uczuciem na zjawiska bestialstwa, jakie widział. Zwykle, kiedy był świadkiem znęcania się — na długo milkił, pogrążał się wieczorem w zamyślenie czy może modlitwę? W prostocie ducha jego mogło to być wytłumaczalną przyczyną jego zgody na los i spokojnej nadziei. Teraz, kiedy Fryc go zauważył i wybrał z gromady, stali naprzeciwko siebie ci dwaj ludzie. Wystrójony frant, okaz niby to ludzkiego wyrafinowania i wykwintej rasy, złowieszczy i zdegenerowany Fryc i nasz Tomasz, nieładny, z tępotą rysów, przez które nie przenika, zdawałoby się, żadna myśl, uczucie, prawie świadomość.

Policzek Fryca w coraz częstszych skurczach posuwał się pod oko, bladeść prawie trupia, występująca na twarzy, jakby refleks tego co dokona, użyczyła rysom jego swego koloru.

— Kto zamknął okna — zwrócił się po niemiecku, głosem niskim od wzburzenia, — powiedz głupecznie?

Tomasz nie rozumiał. Nie rozumiał ani słowa po niemiecku, w ogóle za powolnie chwycił myśl ludzką, ażeby się mógł domyśleć czego od niego żądają. Stał wobec oficera niemy nie tylko ustami, ale głuchym twarzą.

Fryc się pinił. — Powiedz, kto zamknął okno? —

Któryś z więźniów rozumiejący słowa zaczęła podpowiadać co znaczą. Ale Niemiec się wściekł, ryknął:

— Milczcie!

Powoli Tomasz rozumiał sens słowa podpowiedzianego. Ale ma oskarżać, wskazać winnego? To nie było zgodne z jego zwyczajem. Ten, co okno zamknął, robił to w imieniu wszystkich Chłop Tomasz stał najbliższe okna, bo tam była jego prycza i milczał świadomie. Zdawał sobie sprawę, że gdy Fryc, zwykle daleki, czegoś się domaga, zwiastuje to chwile groźniejsze od innych. Jedynym ratunkiem wydało się Tomaszowi w tej sekundzie stanąć rekruckim zwyczajem na baczność i milczeć, ale czuł, chociaż mozolnie reagował na cudzą myśl, że blokführer domaga się coraz silniej i czegoś od niego żąda. Oficer rozkazywał teraz:

— Okno otwórz!

Tomasz stał wciąż z opuszczonymi rękoma, wywołany z pośród cizby więźniów na środek izby, pod światło księżycy padające z wysokich szyb.

Milczał nadal i nie rozumiał, nie miał nadziei domyślić się, więc stał wciąż wyprostowany, z opuszczonymi dłońmi przy ciele. Milczenie Tomasza i nieruchomość coraz bardziej podniecały Fryca. Twarz jego nawiedzona została owym skrzywieniem, które obnażało złotą sztuczną szczękę i bladeścią coraz większą.

— Powiedz mi, kto pozamykał okna, bo inaczej ty —

W sali panowała całkowita cisza. Zgromieni za podpowiadanie więźniowie już nie śmieli szeptać. Fryc poprawny z daleka, wzdrygnięty, teraz w odmienionej postaci, wściekły i skondensowany jak piorun, gotowy za chwilę wyładować się w nieznanym kierunku, miał zgrozę. W zaduchu sali słabe światła jakby przycyżmy, zakazany dym papierosów układał się szarymi warstwami na gęstym powietrzu i nieruchomił. Wstrzymano nawet oddech.

Wola Tomasza zaczynała słabnąć. Miał nad sobą pochyloną twarz Fryca, piękną i straszliwą z gniewu, oczy władcze, które się wciąż domagały odpowiedzi i uporczywe pytanie mówione już teraz szeptem, intymnie, wprost w twarz. Postanowił odpowiedzieć, że nie on — że nie wie, kto otworzył okno. Chwilę mocował się z sobą i nagle z gardła zaczął mu wychodzić tylko jeden dźwięk, sylaba o, o, o — brzmiała, jak się wydać mogło obelżywie, urągająco, — później przez wysiłek coraz cenniejszy i wyżej, głośniejszy — aż żałośnie, przesadzając swój własny los. Twarz Tomasza z napięciem stawała się coraz bardziej czerwona. Głupkowata, pocieszna, wreszcie tragiczna. Zawieszona jak na nitce przeznaczenie jego chwiała się na tym jednym o-o-o, które nie umiało się stać żadnym słowem, mową ludzką, niczym zrozumiałym. Skowyt napelniał ciszę izby, ale już głosu swego Tomasz nie mógł opanować, to głos jakby władał nim i w konwulsji jakania brzmiał rozdzierającą nerwy skargą. Więźniowie osłupiali.

Oslupiały stał też naprzeciw Niemiec, Fryc.

— Milcz, — krzyknął — jeżeli nie ty zamknąłeś okna, to je otworzysz. — I on, który nigdy nie raczył dotknąć więźnia, sprofanował ręce przez dotknięcie ścierwa przestępczego, złapał Tomasza za rozchełstaną koszulę i zaczął nim trząść, żeby zamilkł.

Głos rzeczywiście zapadł się, a chłop jak rzecz martwa pozwalał trząść sobą oficerowi.

Bierność, jak mileczenie poprzednie, były dla Fryca widac nie do zniesienia. Stał się niespodziewanie kim innym niż zwykle. Wstąpiła w niego nieznaną siłą. Wysoki bardzo i chudy porwał ciężkie, krepce ciało Tomasza w ręce, przerzucił sobie na ramiona jak zabite ciele i nim kto spostrzegł, nim zrozumiał zapewne sam Tomasz, uderzył jego głową i tułowiem w szybę, żeby otworzyło się okno. Rozleciało się z brzękiem szkło, padając z trzeciego piętra. Przez ramę na mgnienie oka zawisło w spoczynku ciało ludzkie, nad którym litowało się prawo ciężenia. Fryc jednak popchnął zwieszający się tułów, naznaczając mu drogę śmierci.

Gdy znikła ciemna masa, przez okno wpadło do sali białe od księżycy, mroźne powietrze.

Więźniowie zachwiali się, lecz stali dalej w złowrogim milczeniu.

— Nie ruszać się — krzyknął Fryc — stać na miejscu — i wyszedł, nie spojrzawszy na-

wet w głąb sali na mierzwę ludzką. Drzwi za nim zamknęły się z hałasem, a przez wybite szyby wpadał zaczął śnieg i unosił się po pokojku zamięcia.

Ludzie obozu przyzwyczajeni są do widoku śmierci, jednak ta wprowadziła ich w zdumienie. Nie zgadzała się z Frycem, była już za wielkim bezsenssem, gdy chodziło o prostodusznego, wzorowego Tomasza. Stali głucho, nie patrząc jeden na drugiego. Czekali, że może nastąpi jeszcze coś bardziej zdumiewającego, ale nie nastąpiło nic. Tylko za chwilę przyszli dwaj SS-mani i zatrzymali całą salę w nieruchomości na parę godzin. Dwóch więźniów przy tym apelu zemdlalo.

Nad ranem, gdy tylko apel się skończył i można było wyjść, Artur i Bolesław z kilkoma towarzyszami zbiegli zobaczyć za oknem Tomasza. Mineli się z ulubieńcem Fryca, Hansem, szedł ukradkiem, pijany. Jego włosy były w nieładzie, a rysy piękne jakby przedstawione zostały ręką malarza, zmieniły proporcje, rozlały się i opuchły. Palcem nakazał milczenie więźniom, rozumieli, że zaleca im dyskrekcję. O zajściu z Frycem nic jeszcze nie wiedział; dla pozyskania więźniów zaczął wyrzucać z kieszeni na podłogę to bułkę z szynką, to orzech, lub cukierki! Co głodniejsi więźniowie podnosili jedzenie z ziemi. Zaręczoność wygłodzonych wprawiała chłopca w dobry humor — coraz nowy kawałek kiel-

basy czy bułki z dżemem toczył się pod koje. Hans często i na trzeźwo tak sprawdzał, czy podłoga jest czysta. Głodni więźniowie czekali się po ziemi, ażeby schwycić łakocie. Widac było ich pięty, wystające, zwrócone tyłem do sali odwoiki pełzających na czworakach. O ten efekt widac chłopcu chodziło, rechaotał na cały głos. Aż kiedy zbrakło łakoci wydobyl z kieszeni garść złotych przedmiotów. Pierścionki, cenne kamienie. Była to zapewne biżuteria kradzona więźniom z transportu. Hans ważył złote drobniaki w rękę, wahał się czy rzucić pod łóżka, ale zdecydował, że szkoda. Odwrócił się i zaczął na środku szluby rzygać.

Tymczasem Artur, Bolesław i inni koledzy podnieśli zwłoki Tomasza. Położyli na placu przed blokiem, ażeby, gdy będą stać przed zwykłą zbiórką, do pracy nikogo nie brakowało, więc i jego — trupa. Tomasz miał pękniętą czaszkę i zwisające nogi. Nie żył. Kiedy tak leżał pierwszy z szeregu, wyciągnięty na wznak, z raną niewidoczną z tyłu głowy — był po raz pierwszy ładny.

Usta zamknięte mogły milczeć bezpiecznie, nie wydobywał się z nich już skowyt jednej żałosnej sylaby. Twarz jego, zatrzymana w nieruchomości śmiercią, miała łagodną zadumę wszystko rozumiejącej mądrości.

Halina Maria Dąbrowska

ANTONI BOLESŁAW DOBROWOLSKI

O praktyczności nauk niepraktycznych i potrzebie Ministerstwa Nauki

I

Naukę i związane z nią ściśle instytucje i szkoły należy oddzielić od Ministerstwa Oświaty.

Jest ono i bez departamentu nauki i szkół wyższych więcej niż inne ministerstwa przeciążone, ma naprawdę za dużo roboty z opiekowaniem się całą resztą oświaty. Ten jeden fakt starczy za dostateczny argument. Nie brak i innych. Przytoczę jeszcze dwa. Jeden argument to ten, że przy tej ilościowo olbrzymiej reszcie oświaty, nauka — to najwybitniejsze znanie nowoczesnej cywilizacji, jej najdonioślejszy składnik i czynnik, coraz silniej, coraz szerzej i głębiej przenikający do codziennej praktyki życiowej — zajmuje w Ministerstwie Oświaty jakiś ostatni kąsek z napisem „Wydział Nauki“, jest i być musi kopciuszkim. Oczywiście nauka nie wychodzi na tym najlepiej, nawet gdy wyjątkowy minister wyjątkowo ma ją na sercu. Drugi argument to ten, że nauka stanowi dziedzinę oświaty jakościowo zupełnie inną od całej reszty oświaty: czynności badawcze zarówno jak nauczanie tych czynności — to świat zupełnie odrębny.

II

Jednak nie do innego ministerstwa, mniej obciążonego należałoby przenieść naukę, ani łączyć jej z ministerstwem sztuki; wprawdzie sztuka jest nauce głęboko pokrewna, ale praktycznie zbyt odmienna.

Naukę i związane z nią instytucje i szkoły należy wyodrębnić w osobne ministerstwo: Ministerstwo Nauki.

Wszak drugi składnik kultury doczekał się już — i słusznie, bo jest równie ważny jak nauka, jeżeli nawet dziś jeszcze nie równie doniosły — swego osobnego, Ministerstwa Kultury i Sztuki. Powinna więc chyba i nauka doczekać się wreszcie swego własnego ministerstwa. To chyba aż nazbyt oczywiste.

Nie trzeba myśleć, że Ministerstwo Nauki będzie miało za mało roboty. Wejdą wszak w jego sferę wszystkie instytucje z nauką związane, a takich będzie niemało: muzea, archiwa, biblioteki, towarzystwa, zjazdy i stałe biura (sekretariaty) zjazdów; instytucje wydawnicze; pomoc uczonej, stypendia, zapomogi na prace; wreszcie instytucje badawcze, szkoły badaczy naukowych czystych i badaczy naukowych z nastawieniem praktycznym wraz z przelicznymi szkołami wszelkich mnoznych się i różnicujących zawodów praktycznych, na nauce czystej opartych dotychczasowych szkół wyższych; (por. mój artykuł w „Kuznicy“, nr 4—5). Będzie więc miał minister nauki wraz ze swym wiceministrem roboty niemało, będzie mógł jednak dla nauki polskiej coś naprawdę zrobić, będzie miał czas — i miejsce w głowie — na skuteczne opiekowanie się nauką i jej postępem w kraju, co znaczy głównie: na skuteczne starania o dostateczne środki, dziś jeszcze nawet w krajach przodujących kulturą bardzo niedostateczne, u nas zaś przez całe dwudziestolecie pierwszej niepodległości po prostu śmieszne.

Poza tym — nie należy o tym zapominać — stworzenie ministerstwa nauki podniesie na pewno w świadomości ogółu wagę nauki, będzie stałym urzędowym przypominaniem o jej istnieniu! A nie jest to szczególnie mało ważne, zwłaszcza w społeczeństwie naszym, od dawien dawna przyzwyczajonym do ignorowania

nauki, do ignoranco niedbatego, nawet pogardliwego do niej stosunku, nawet do wymyślenia nauce — nie tylko za to, że „nie tłumaczy nam wszystkiego“ (jak gdyby miała do tego pretensje i jak gdyby była inna wiedza co wszystko tłumaczy!), że niszczy intuicję i wysusza serca (ona!), ale że wynajduje (ona!) coraz straszniejsze środki niszczenia ludzi i dobra ludzkiego.

Ignorancja oto główna przyczyna niedoceny najcenniejszego naszego dorobku.

III

Nauka jest i była niedoceniana nie tylko w Polsce. Niedoceniana jest na całym świecie (tylko w Polsce szczególnie), stoi wszak zawsze na końcu szarego końca budżetów (tylko w Polsce aż za tym końcem). Zwłaszcza nauki „czyste“ — te niepraktyczne, niezamawiane. Bo nauka jest właściwie nieznaną.

Wiedzą praktycy z konieczności coś nie coś o naukach praktycznych tych zamawianych, że są dla praktyki konieczne w postaci zamawiań u nauk czystych rozwiązania aktualnych problemów badania tych wszelkich rzeczy, które daną praktykę w danej chwili bezpośrednio obchodzą — badania dokonywanego z punktu widzenia tej praktyki i często na poczekaniu, sposobami, jakimi się da, często — zwłaszcza w sprawach ludzkich — zupełnie przed naukowymi, zwłaszcza że praktyka nie może czekać, aż odnośne nauki „czyste“ zainteresują się jej kwestiami, lub aż w danej dziedzinie wyrobiją się metody badania prawdziwie naukowe. Ale mało kto wie — czego jednak uczy nas doświadczenie od początku nauki — że taka nauka zamawiana, takie badania „praktyczne“ (jedynie cenione przez praktyków) okazują się z punktu widzenia praktyki niedostateczne. Są dobre na co dzień, ale naprawdę wielkie owoce praktyczne spadają zawsze — choć nigdy nie wiadomo z góry jakie i kiedy — właśnie z odnośnych nauk „czystych“, niepraktycznych i — wbrew „zdrowemu rozsądkowi“ krótkowzrocznych praktyków — tym większe, im odnośna nauka czysta jest ogólniejsza, czyli im dalej stoi od danej praktyki. Stąd wniosek bardzo ważny: właśnie w interesie praktyki — na większą skalę i na dalszą metę — należy popierać przede wszystkim nauki czyste i tym więcej, im są ogólniejsze, im dalej stoją od praktyki. Więc i w budżetach nauki czyste powinny być uwzględniane przed praktycznymi, instytucje badawcze i szkoły badaczy najwyższej klasy przed wyższymi szkołami praktycznymi. Nie rozumieją tego praktycy, nie rozumieją ministrowie oświaty, a często i sami uczeni. Zrozumiał to jednak b. prezydent Stanów Zjednoczonych Hoover, praktyk, businessman, nie uczonej, w swoim orędziu nawołującym do popierania nauk czystych jako tych właśnie, które „więcej niż stosowane posuwają naprzód praktykę“. Rządy i społeczeństwa chcą — jeżeli w ogóle raczą chcieć — nauki stosowane, praktyczne, nie czyste. Że wszelkie badanie kiedyś zrodzi jakieś owoce praktyczne, to ich mało obchodzi; oni chcieliby zaraz — i takich, jakich im zaraz potrzeba, nie innych: nauka ma dla nich sens jedynie jako służebnica ich aktualnych potrzeb i pragnień. Nie wiedzą też, że podział nauk czystych na więcej i mniej ważne dla praktyki jest z gruntu fałszywy; jako iż nie wiadomo nigdy z góry, jakie badanie jaką

korzyść praktyczną przyniesie. Nie wiedzą więc, że od badacza „czystego“ niepraktyczne jest wymagać jeszcze jakichś usług poza owocnymi badaniami czystymi, funkcją społeczną, najważniejszą, że zamówienia praktyczne czy oświatowe dawać należy tylko badaczom z nastawieniem praktycznym lub oświatowym, a nie obciążać nimi, nie zatrzymywać w pracy tych, którzy takich nastawień nie mają. (Zdaje się nie wiedzieć o tym np. ob. Włodzimierz Michajłow, skoro w artykule swym w nr. 18 „Kuznicy“ wygłasza tak wśród przeciętnej burżuazji od wieków popularne zdanie jak: „przy planowaniu sieci instytucji naukowo-badawczych należy się łączyć z ich doraźną użytecznością publiczną“, lub: „państwo ma prawo i obowiązek popierać w pierwszym rzędzie te badania, które są obecnie społecznie i gospodarczo najbardziej przydatne“, lub: „mamy prawo domagać się od niego, by był także bezpośrednio społecznie użyteczny, dzieląc się np. od czasu do czasu swą ogólną wiedzą... choćby w ramach wykładow na Uniwersytecie Robotniczym“, mówiąc ogólnie, na kursie tzw. „oświaty ludowej“ — oświaty drugiej kategorii, takiej „dla ludu“).

Dziś ważni są praktycy zwyczajni zarówno jak utalentowani, ale jeszcze ważniejsi są utalentowani badacze. Ważne są służące bezpośrednio praktyce „nauki stosowane“, ale jeszcze ważniejsze są nauki czyste. Ważne są szkoły praktyków, ale jeszcze ważniejsze są szkoły badaczy. Powszechny wyścig uzdolnień — możliwy jedynie po zaprowadzeniu, zamiast dotychczasowej szkoły powszechnej i dzisiejszego kastowego gimnazjum, dziesięcioletniego ogólnokształcącego gimnazjum powszechnego i obowiązkowego na poziomie dotychczasowej „małej matury“ — jest sprawą dla ujawnienia i wyzyskania wszystkich nieprzeciętnych uzdolnień badawczych jeszcze ważniejszą, niż dla rekrutacji potrzebnych krajowi dzielnych i gruntownie wykształconych praktyków. Upowszechnienie gimnazjum na poziomie małej matury umożliwi objawienie się i działania wszystkim wybitnym mózgom badawczym, ukrytym w masie ludu dziesięćkroć przeciętnej liczebniejszej od dzisiejszej warstwie inteligencji i w ten sposób da społeczeństwu — prócz wielu innych podstawowych plusów — dziesięćkroć więcej, niż dotychczas; czynnych talentów odkrywczych i wynalazczych, co przeliczone na pieniądź opłaci z procentem astronomicznym kapitał włożony w tę podstawową reformę oświaty, wartą wszelkich, nawet wieloletnich poświęceń i ofiar. Właśnie my, z najniższym w Europie poziomem umysłowym i naukowym, z oświatą zaniedbaną od trzech z górą stuleci, mimo że najwięcej zrujnowani przez wojnę i właśnie, żeby z ruiny się dźwignąć, powinniśmy bez porównania więcej niż inni dla oświaty zdziałać, oświatę na pierwszym miejscu, przed wszystkim innym postawić, zdobyć się na najwyższy wysiłek, największe ofiary i poświęcenia. Tym bardziej, że zdolności nam nie brak, mamy ich więcej, niż inni; dzisiaj już nauka rządząca będzie gospodarstwem społecznym i ten kraj wybiję się wśród innych, który więcej będzie miał odkrywców i wynalazców.

Warto, żeby te elementarne, oczywiste prawdy, od 20 lat w tym kraju ogłaszane, przeniknęły jednak wreszcie do umysłów naszego ogółu.

A. B. Dobrowolski

JOZEF SIERADZKI

Czerwone i czarne

NIEPOZORNE ZESZYTY

Wylano już strugi atramentu i beczki farby drukarskiej na ziemię odzyskane i zeszlismy — na ogół — do nudnego i wyjątkowego szablonu w tym, co się pisze i wie o Zachodzie. A oto kilka niedużych, sino oprawnych zeszytów „Biura studiów osadniczo-przesiedleńczych”. Kto przeczyta R. Buławskiego „Problemy osadniczo-przesiedleńcze ziem odzyskanych” i jego „Problem Niemców pochodzenia polskiego”, S. Pietkiewicza i M. Orlicza „Plan racjonalny przesiedlenia osadników rolnych”, K. Dobrowolskiego „Uwagi o osadnictwie ziem zachodnich”, P. Rybickiego „Możliwości zaludnienia ziem odzyskanych osadnikami polskimi w grupie zawodów nierolniczych”, głosy dyskusyjne fachowców na sesjach Rady Naukowej Ziem Odzyskanych — zamyśli się głęboko.

Czy mamy dość ludzi na skolonizowanie Śląska, Prus, Pomorza i Ziemi Lubuskiej?

— Wobec ustalenia linii Odry i Nysy Łużyckiej jako naszej granicy zachodniej otwiera się możliwość osiedlenia dla około 7¹/₂ miliona osób (Buławski).

— Prawdopodobna pojemność rolnictwa: 2¹/₂ miliona głów (Pietkiewicz i Orlicz).

— Już dziś uznać można, że kolonizacja ziem nowych w zakresie zawodów pozarolniczych będzie dopiero wtedy dokonana, kiedy nie mniej niż około 3¹/₂ miliona polskiej ludności pozarolniczej osiedli się i zagospodaruje na tych ziemiach (Rybicki).

Więc razem 6 milionów. To postulat.

„Ale znalezienie tej liczby nie będzie łatwe, skoro w ogóle rozporządzamy w miastach naszych co najwyżej 7 milionami”.

Bo mieliśmy w miastach w 1939 roku 9 milionów (na obszarze centralnym). A straty? A inne fakty? Samo wytepienie Żydów „oznacza nie tylko ubytek rezerw (aktualnych i potencjalnych), jakie ta ludność mogła przedstawiać dla imigracji, lecz tworzy także problem zastępstwa tej ludności w życiu gospodarczym ziem starych, obejmowania pozostawionych przez nią warsztatów”. Może tu wchodzić w grę około 1¹/₂ miliona głów. „W ramach naszych sił pozarolniczych i w planach ich możliwego użytkowania, zastąpienie ludności żydowskiej jest pozycją poważną. Wraz ze stratami poniesionymi przez samą ludność polską sprawią ono, iż... nie może być mowy o aktualnych nadwyżkach ludności pozarolniczej” (Rybicki).

Ale jest przypływ ze wschodu, jest ludność zniszczonej Warszawy, są inne grupy wytrącone ze zrujnowanych miast i warsztatów — razem około miliona, tj. 25% tego co potrzebne. Aktualnie. Potencjalnie wchodzi w rachubę wieś jako dostawca ludzkiego materiału do miast, rezerwa ludności, która bez naruszenia potrzeb gospodarki rolnej może być skierowana do zawodów pozarolniczych. Ci są już dziś. Są również Polacy, którzy przetrwali w polskości i jest zrab nadający się do repolonizacji. Nadto rezerwa jutra, piętnastu najbliższych lat, z przyrostu naturalnego. Jest emigracja rozsiana w Europie i Ameryce — „za chlebem”.

Część jej wróci do kraju.

— Zawsze jednak pozostanie jeszcze poważna luka, której narazie nie będziemy mogli wypełnić (Buławski).

Stąd kategorię zasada: jak najbardziej ekonomiczne gospodarowanie materiałem ludzkim. I wniosek: niepodobieństwo bezrobocia na długie lata.

RZECZY POZIOME

Docent Styś: W przemyśle angielskim pracuje obecnie 3000 inżynierów Polaków, wybornych fachowców. Trzeba ich w kraju.

Dr Zieleniewski: Celem świadomej polityki w sprawie struktury zawodowej musi być doprowadzenie do równowagi na tym polu, mniej więcej według schematu: 30 kilka % ludności żyjącej z rolnictwa, 30 kilka % ludności żyjącej z przemysłu i handlu i 20 parę % żyjących z innych zawodów, obsługujących zarówno wieś jak i miasto.

Dr Buławski: Traktując sprawę zgermanizowanych Polaków najzupełniej pozytywnie uważam jednak, że należy wobec tej grupy ludności zachować daleko idącą ostrożność.

Prof. K. Dobrowolski: Obok względów biologicznych... ogromną rolę odgrywają również elementy socjologiczne. W osadzie, w której ludność jest rodzima od pokoleń, wytwarza się trwała więź grupowa. Trzeba przyjąć za podstawową zasadę, aby... przynajmniej trzon populacyjny każdej osady składał się, o ile możliwości, z ludzi ze sobą żytych. Odnosi się to przede wszystkim do osad wiejskich, górniczych, fabrycznych i mniejszych miast.

Włodz. Borowski: Na terenach odzyskanych znajdował się przed wojną blisko milion koni, 4¹/₂ mil. bydła, 6 mil. trzody chlewnej oraz 1 mil. owiec. Z powyższych ilości pozostało na miejscu tylko niewiele.

Prof. Schmidt: W wypadku trzody chlewnej trzy lata wystarczą na zregenerowanie jej na ziemiach starych. Przy bydle rogatym

szacuje, że aby doszło do stanu odpowiedniego na ziemiach starych, potrzeba będzie 10 do 14 lat.

Może nudny dyskurs?

IDEOWY ZAPASNIK

Reforma szkolna stanęła. Ze stołu wielkiej odmiany spadły okrucy. Nawet sprawy organizacyjne przedstawiają się niedobrze w krakowskim okręgu szkolnym. Liczba powszechnych szkół nieczynnych wynosi 113, z tego połowa w powiatach nowotarskim i olkuskim, brak sił nauczycielskich wyraża się w groźnej cyfrze z górą tysiąca, zaś ponad 150 szkół ma po jednym tylko nauczycielu.

Okno, przez które młodzi mają zobaczyć świat, zakute jest grubą warstwą szronu. Równo rok od dnia oswobodzenia Krakowa w polskich Atenach nauczyciel tak mówił do uczniów drugiej klasy gimnazjalnej:

— Dziś nie ma wolnego, szlusznie, bo jaką my rocznicę wyzwolenia obchodzimy?

Gdzie indziej strzela z grubego działa:

— Jesteś tak głupi, że nadałbyś się na ministra.

Na lekcjach geografii, ZSRR charakteryzowany jest jako kraj tundr i tajg, a Śląsk, skarbnica węgla i rewir zaklętych skarbów, tak:

„Niebo wciąż przesłonięte chmurą dymu i kurzu. Wszędzie leżą sterty odpadków fabrycznych, dymiących żużli, a dookoła unosi się duszący zapach spalenizny, wszędzie sterczą kominy fabryczne wyrzucające w obszary nieba kłęby czarnego dymu węglowego. Smutno wygląda krajobraz Śląska”.

W miejskiej szkole dzieci piszą dyktat:

„Ludzi, którzy wierzą w Boga, zabijają, a dzieci wychowują na pogan. Świąt żadnych nie uznają, pracują podczas największych świąt” itd.

Ksiądz prefekt prawi na temat „Chrystus a komunizm” do 14-letnich chłopców:

„Duch katolicki jest niezgodny z duchem komunizmu. Robotnicy i chłopcy są niezadowoleni. Na skutek upaństwowienia wielkich majątków na kresach grozi głód. Chrystus uznaje prawo własności, ma przede wszystkim na oku dobro jednostki, komuniści działają wbrew woli jednostek. Niektórzy bolszewicy urzędnicy mają za granicą wielkie majątki.

Komunizm katolicki się nie udał, bo Żydzi zrobili szacherki i nabierali apostołów(!)

Komunizm może być ideowy albo ekonomiczny. „Społem” obejmuje tylko małą grupkę ludzi, którzy robią pieniądze. Chrystus jest raczej komunistą ideowym. Wśród komunistów są tylko nieliczni porządni ludzie”.

Tak u samych dołów rozgrywa się „ideowa” walka o światopogląd. Rozprawa z materializmem dialektycznym i reformą rolną.

Cytowane liczby i szczegóły z życia szkoły przytaczał Henryk Dobrowolski na posiedzeniu Wojewódzkiej Rady Narodowej w Krakowie.

NADUŻYCIE?

Przed kilkunastu tygodniami biadaliśmy nad milczeniem w jednej ze spraw, które sięgają do samej konstrukcji narodowej kultury: w sprawie humanistyki, uszczuplonej bardzo przez projekty reformatorów. Tymczasem za utrzymaniem łaciny dałoby się nie jedno powiedzieć poza samym argumentem filologicznym... Poważne motywy ogólnokulturalne i nawet polityczno-społeczne („Więcej światła”, „Odrodzenie”, nr 50).

Obecnie Konrad Górski w „Tygodniku Powszechnym” podnosi „Wartości wychowawcze humanistyki”, dzieląc opinie, że nadużywanie nauk humanistycznych przez skompromitowane ruchy reakcyjne trzeba odróżnić od obiektywnej wartości tych nauk. Niestety, za to ziarno rozumnej prawdy przychodzi zapłacić grubo. Znowu na ideowym froncie. „Ojcem duchowym teoretycznych podstaw niemieckiego nacjonalizmu i rasizmu jest Darwin... jako twórca teorii, że rozwój gatunków dokonywany jest w wyniku walki o byt i naturalnego doboru”.

Już raz piętnowaliśmy chwyt polemistów katolickich, który polega na przedstawianiu hitlerizmu jako kierunku materialistycznego. Rzecz wyrasta jednak do roli spóźnionego argumentu i w braku mocniejszego oręza odegrać ma rolę bronii zaczepnej.

Ale:

Konia trojańskiego z rządem politycznych niespodzianek K. Górskiemu, jeżeli dowiedzie, że Darwin tak uczył o sprawach stowięcych przedmiot socjologii człowieka. Bo nauka o doborze naturalnym i zwycięstwie silniejszego dotyczy rozwoju gatunków, a jej przenoszenie na stosunki w ludzkich społeczeństwach jest wybrzydkiem i dowolnością albo wulgaryzacją nauki, jeżeli nie zawstydzającą ignorancją.

I znowu ten Carrel. Już przestrzegaliśmy przed nim, ale przestroga nie znajduje zrozumienia u zwolenników przyjaciela Lindbergha. Wystarczy grubo nabój indeterminizmu w książce znakomitego skądinąd biologa, aby wszystkie zasadnicze obiekty natury ogólnopolitycznej (to znaczy światopoglądowej!) poszły w kąć — jeżeli się ogólnie naprawdę takie obiekty żywi.

Konrada Górskiego minie i koń i rząd za fałszowanie Darwina, a po dociekaniach wspartych autorytetem podejrzanego Carrela,

pozostaje ze współczesnego człowieka — istota nieznana.

Czyżby trud dyskusji był daremny i zbędny? Bo warunkiem jej racjonalności jest to, co zakłada — szczerze czy nie, ale rozumnie — Bolesław Piasecki: „W walce ideowej poza tym należy się lojalnie liczyć z możliwością, że się będzie przekonany przez drugą stronę” („Dziś i Jutro” nr 2). Tu zaś po rewansach i docinkach, utrwaleniu w druku z wzajemną szarmanterią po kilkanaście razy nazwisk i protekcyjnych komplementów, pozostaje na placu wróg Darwina Konrad Górski i katecheta w szkole z kazaniem o Żydach, „co robili szacherki i nabierali apostołów”.

Ale, jeżeli już, choć humaniści, zerkamy w stronę nauk przyrodniczych, sięgnijmy do czystego źródła:

„Osiągnięcia współczesnej biologii, w szczególności badania nad bliźniętami jednojajowymi świadczą w sposób silnie ugruntowany, że każdemu zjawisku psychicznemu odpowiada określona podstawa anatomiczno-fizjologiczna, że cechy psychiczne podlegają dziedziczeniu jak cechy fizyczne. Ścisłe związane z tą dziedziną nauki badania charakterologiczne prowadzą ze swej strony do stwierdzenia, że itd. Na podstawie tych samych badań itd. Te fundamentalne założenia oparte na empirycznych, nie dających się obalić danych, tworzą nie tylko przełom w poglądach na naturę ludzką, ale stanowią też moment zwrotny w praktyce społecznej. W wychowaniu, racjonalnej polityce społecznej, w zagadnieniach demograficznych i osadniczych”.

Tak pisze również humanista, prof. Kazimierz Dobrowolski.

To jest darwinizm. Ale niesfałszowany. Bez mistyfikacji i mistyki. Prowadzący do człowieka — istoty poznawalnej i poznawanej. Humanistyczny.

WRACAMY DO EKONOMIKI

Na Śląsku rosą fortuny prywatne. Nie tylko na Śląsku. Ich genealogia sięga często niedawnego, bohaterskiego okresu grup operacyjnych. Wznowione wydanie publikanów w prowincji sycylijskiej Rzymu, żarłocznych ekwitów, którzy zbijali majątki. Per nefas. Dziś mają po trzy mieszkania np. w Zabrze jedno, we Wrocławiu drugie, w Warszawie — zwykle na Pradze — trzecie. Albo w Kłodzku Gliwicach i znowu na Pradze. Tam, do Warszawy prowadzą wszystkie nici. Nowoczesny Werres ceni zbytek w mieszkaniu, ale przede wszystkim dolary, w których lokuje poczynione „oszczędności”.

Góra płyną szczupaki. Drobniejsze okonie siedzą w urzędach mieszkaniowych. Ich żony są z reguły kupcowymi. Żarliwie poszukiwanie „straconego czasu”. Spóźniony wybuch komercyjnych talentów. Handelek pod hasłem rozwoju gospodarstwa narodowego. Niesamowita wokulsczyzna. Grynderstwo lokalowe. Pionier nadodrzański przygwałdza sobie puste pomieszczenia w kilku miastach. Napis: „Lokal w rejonie”. W powrotnym wojażu ściga niewód. Pozbywa swe „prawa” za dziesiątki tysięcy. Zakłada fundamenty pod zdobyty inicjatywą i potem majątek.

Częściowo już przygotowuje wyjazd za granicę („bo tu przecież nie będzie życia”). Oficjalnie jest z prądem. Ludowy demokracja. W prywatnych rozmowach wyrzeka. W domu uznaje Andersa. Na fantastycznie piękny odbiornik łowi fale BBC.

Z bezpieczeństwem niedobrze — zwłaszcza na Pomorzu. Jest to temat poważnej troski. Legalność życia musi być osiągnięta za wszelką cenę.

ZNOWU DYSPROPORCJE

Rząd stosuje politykę deflacji. Słusznie. Jest to droga nie mająca w sobie nic z łatwizny. Za inflację rząd inkasowałby doraźną popularność, społeczeństwo za przejściową ulgę zapłaciłoby nieuniknionym kryzysem a gospodarstwo narodowe infekcją ciężkiej, przewlekłej choroby.

Ale równocześnie samorząd przeciwdziała deflacji. Opłaty za gaz są wysokie, prąd droższe, wzrastają ceny przejazdów tramwajami. I nie tylko samorząd. Żadne pozycje budżetu rodzinnego nie ulegają stabilizacji, wszystkie niemal zwyżkują, przy sztywnych płacach. Ich poziom jest w zestawieniu z rynkowymi cenami wyimaginowany Niskie komorne należy do pasma fikcyj, zakładanych teoretycznie, bez wiary w ich praktyczną wartość. Dodatki za wodę — woda przestała być dobrem wolnym — wywóz śmieci, czyszczenie kominów itd. przewyższają dwu i trzykrotnie czynsze za lokal mieszkalny. Wokół zioną dysproporcje. Luki wypełnia przepuststwo, spekulacja, sprzeniewierzenie, machinacje naruszające prawo. Z dysproporcji tryska strumień niezadowolonych, zniechęconych, negacji. Uczelisko wystawiona jest na najwyższą próbę i rzadko ją wytrzymuje. Wolny rynek błyszczy artykułami zbytku, które odpowiadają sile nabywczej uprzywilejowanych. Sprytni łowcy koniunktury czerpią dochody ze źródeł odległych od pracy i położonych na ustroniu od prawa.

MALARSTWO POLSKIE



ALEKSANDER GIERYMSKI (1849—1901)

Przed pogrzebem

Rozdział najniezbędniejszych artykułów żywności i przemysłowych — zawodzi, choć produkcja przemysłu wzrasta stosunkowo szybko. Takie jest uogólnienie tego, co dzieje się wokół i co określa życie szarego człowieka. Robotnika, chłopca, nauczyciela, sędziego.

Szary człowiek cierpi niedostatek.

Mądry marksizm pojmuje teorię jako uogólnienie praktyki obserwowanej uważnie, analizowanej umiejętnie. Trzeba koniecznie zastanawiać tę mądrość.

Nie tylko wyznawać ją po akademicku.

KRĘTE DROGI

Te — i inne — dolegliwości są spadkiem po latach grozy i wchodzą w inwentarz niepodległości. W jej kapitale zakładowym jest ruina gospodarza i pustynia moralna. Porodowa męka przebudowy społecznej, przenosin terytorialnych, dźwignia się ze zniszczeń dokonanych przez okupanta, lizania śmiertelnych ran. Wspomnijmy, że przed niedawnym świtem kraj nosił nazwę Gangster-Gau w języku samych Niemców. Ze zanim runęła nań wojna, w czasach, gdy już ciemniało na świecie, na układ nasz wewnętrzny kładły się głębokie smugi.

W ekonomii nie ma cudów, w polityce ekonomicznej cudotwórców. Bywają mądrzy lekarze. Programowa mowa Gomołki-Wiesława na zjeździe PPR należy do najrozumniejszych, jakie słyszano kiedykolwiek w Polsce; diagnozy ministra przemysłu są trafne.

Rozsądny Stanisław Mikołajczyk nie podał w wątpliwość żadnej z zasad programu rządowego, podzielił w całej pełni jego konstrukcję. Rozsądny na całej linii, konsekwentny tylko do połowy drogi. Dokładnie do miejsca, w którym nad poczuciem pożytku ogólnego wziął górę interes partyjny.

Stary, tradycyjny grzech. Albo potwierdzenie tezy o rozstrzygającym znaczeniu klasowych antynomii? Szczęściem tylko potrochu, bo w swym zrebie masa chłopska jest przeciw proletariatem. Należy do proletariatu.

Gdyby istotnie było prawdą, że w wyborach do sejmu bez bloku szef PSL uzyskałby świetne zwycięstwo i większość mandatów (musiałby nie mieć przeciwko sobie wszystkich robotników i części chłopów i inteligencji) — wtedy co?

Co pocnie z tym amabarasem bogactwa? Czy zmieni program rządowy? — Nie. Cofnie reformę rolną? — Nie. Ustawę o nacjonalizacji wielkiego i średniego przemysłu, która kładzie kres kartelom? — Nie. Zrewiduje sojusze? — Nie. Gdyby nie było gotowego przymierza ze Związkiem Radzieckim, pojechałby po nie do Moskwy, na Kreml.

Wzięłyby jedynie na rachunek jednej partii brzemień całej odpowiedzialności za dzieło, któremu równie trudnego nikt w Polsce nie podejmował.

Ale Mikołajczyk jest nie tylko wcale pojętym uczniem Sikorskiego, nie tylko przywódcą PSL, lecz również epigonem przeszłości swego stronnictwa.

OGNIWA

Nie zawadzi znać doświadczenia postronnych narodów. Gdy w Związku Radzieckim bywało ciężko, a bywało nie jeden raz od zwycięstwa październikowej rewolucji — dokonywano analizy zjawisk niepokojących i ujawniwszy ich istotę i źródło, wskazywano rozstrzygające ogniwo, które trzeba uchwycić, by opanować całość i nadać jej pożądany kierunek. Od niego rozpoczynało celowy system środków naprawy, dla której mobilizowano najlepsze, najbardziej ofiarne siły społeczne. Ta niezrównana metoda zapewniła Związkowi wyniki, przed którymi zginają się w ukłonie szczyty najwyższych drapaczy chmur w Now Yorku i milikną stare kantory w zacisznej dzielnicy banków w Londynie. Dzięki tej znakomitej metodzie zapowiedź Józefa Stalina panom z Deutsche Diplomatische Politische Korrespondenz, że dany im będzie dowód, iż Związek Radziecki nie jest pojęciem geograficznym tylko, lecz pojęciem państwowym, została spełniona gruntownie i bez reszty.

Rozstrzygającym ogniwem w naszym współczesnym układzie jest praca. Ona może być głównym, jeżeli nie jedynym i wyłącznym źródłem kapitalizacji. Dla tej liczby zdolnych do pracy z wieku i stanu zdrowia, która odpowiada dwudziestu paru milionom ludności w kraju, jest pracy nadto. Bezrobocie jest u nas obiektywnie pojęciem oderwanym z dziedziny czystej teorii, gdyż realne wyliczenia i szacunki wskazują, że raczej może być i będzie odczuwany brak rąk do pracy niż ich nadmiar. Osadnictwo na zachodzie i północy rozładuje przeludnioną wieś z przebudowanym ustrojem rolnym. Górnictwo i przemysł na zachodzie i w całym kraju chłonąc będą przysrost ludności, który w najbliższych latach raczej nie dopisze. Wiesz polska pod Łignicą i Koszalinem będzie kadrami armii rąk, potrzebnych w kopalniach i przy konwojerach. Każdy zdolny do pracy jest cennym wytwórcą dóbr, każdy wykwalifikowany pracownik dobrem publicznym. Trzeba w kraju wszystkich górników z Westfalii z radością przyjęty będzie każdy pan Balcer z Brazylii. Nikt idący „za chlebem” nie będzie musiał oglądać wierzby nad Sekwaną. Prawdopodobnie natychmiastowy wzrost ludności o 1/4, tj. do 30 kilku milionów nie zostałaby odczuty jako przeludnienie.

Paradoks, jeden z najdziwniejszych, polega na tym, że ci, którzy dają pracę i świadczą usługi, cierpią niedostatek, chociaż stanowią o dochodzie społecznym i wzroście majątku narodowego.

Kanonem polityki ekonomicznej musi więc być zapewnienie regeneracji ich sił i zdolności do wydajnej pracy. Zakładając, że inflacja nie wchodzi w rachubę, podstawową formę wynagrodzenia stanowią mogą przydziały żywności i wytworów szerokiego użytku. Istota sprawy leży w płaszczyźnie podziału.

Rzecz tę zrealizowano już w pewnej mierze w większych ośrodkach robotniczych, lecz tylko częściowo i w sposób niedostateczny. Należy ją upowszechnić i uczynić zasadą całego systemu.

Dotyczy to zarówno miasta jak wsi. Polityka kontyngentów, konieczna i uzasadniona, niewzruszalna, jest kategorią przejściową na niewymownie trudnym zakreście. Zwykłą szybko wskaźniki produkcji przemysłowej, pomyślniejsze dziś u nas niż we Francji, przybliżają moment, gdy wieś będzie mogła otrzymać potrzebne ilości wytworów fabrycznych.

Drugim kanonem polityki ekonomicznej jest zwiększenie armii wytwarzającej dobra. Przymus pracy rodzi się zbyt powoli, choć dobrze obmyślany i przeprowadzony obiecuje co najmniej kilkaset tysięcy par rąk doład próżniących. Jest rzeczą jasną, że sam system gwarantowanych przydziałów żywnościowych, najskrupulatniej stosowany i rzeczywiście realizowany, pchnie naprzód produktywność, wyłączając bezwzględnie poza nawias opieki ze strony państwa uchylających się od pracy. Rozmiary demoralizacji dyktują jednak w obecnej chwili rygorystyczną zasadę przymusu, który poprzez pożądane procesy rozwojowe i stanie się zbytni, gdy organizm nabierze naturalnego rozpędu.

REKOMENDACJA ALBIONU

Czynnikami bardzo utrudniającym proces zdrowienia jest niski stopień wyrobienia społecznego i destrukcja pojęć moralno-społecznych jako wynik wojny. Anglikom wszystko przychodzi łatwiej. Element psychiczny jest u nich ważkim współczynnikiem stałości pieniądza, którego nie podrywa popłoch i niewiara. W kraju, który był piętrem liberalizmu i długo władzę państwową w dziedzinach gospodarczych sprawował do roli stróża nocnego, przyjęły się i były przestrzegane w czasie wojny ściśle zasady dystrybucji żywności i odzieży. Wiele z nich utrzymuje się dotąd, a gwarancją ich wykonania jest dyscyplina społeczeństwa. Angielka ma dwie pary pończoch i nie nabywa trzeciej bez kuponów. Przedsiębiorcy sprzedawca indyków, nieodzownych w angielskim domu w święto Bożego Narodzenia, został zbojkotowany, gdy wystawił na sprzedaż indyki po cenie wyższej niż urzędowa. Mięsa ani — szczeru nikt nie nabywa na czarnym rynku, zadawałając się przydziałem.

U nas inaczej. Snobizm wobec wszystkiego co anglosaskie omija to, co istotnie jest wartościowe i mogłoby służyć za wzór do naśladowania.

Więc publikanie na Śląsku i Pomorzu będą jeszcze grasować. Zły urzędnik ostoi się dłużej. I pracujący w milicji nie na swoim miejscu. Ale nie ziści się transponowane prawo Greshama o wypieraniu dobrej waluty przez gorszą. Zostanie przewyciężone przez czujność młodych, zdrowych warstw społecznych. Tok rozwojowy, który musimy odbyć, może być ułatwiony przez dodatkowe, pomocnicze źródła kapitalizacji. Nikt nie odrzuca myśli o możliwościach pożyczki na dopuszczalnych warunkach finansowych i ogólnopolitycznych, bez niebezpieczeństwa odnowienia państwowych grup kartelowych i zależności politycznej, z utrzymaniem pełnej suwerenności państwa.

Mogą też zajść powikłania i zakłócenia. Przykład bałkański nasuwa groźne widmo greckie, kraju wtrąconego w zamęt i wojnę domową. Manewry polityczne obliczone na zachwianie bloku stronnictw budowy państwa i demokracji są występkiem. Grecyzacja Polski przyprawiłaby ją o jeszcze jeden akt dramatu. Może ostatni, na pewno nieśczęsny. Są wszystkie warunki, by tego uniknąć. Nawet polityczna świadomość, która wynika z dojrzewającego i dojrzalego układu spraw terytorialnych, gospodarczych i społecznych.

Jeżeli nam czegoś nie dostaje, to chyba najwięcej — wstrząsu. Jego brak w dziedzinie duchowej, intelektualnej, ideowej odczuwa się dotkliwie i coraz boleśniej. W nauce grozi on zastojem, w wychowaniu zaduchem, w literaturze dreptaniem w epigoniźmie i małej tematyce.

Kiedy wtargnie do literatury to, co boli przybysza za linii Curzona, pociąga osadnika na Dolnym Śląsku, marynarza na wybrzeżu Bałtyku? Czy przebudowa społeczna, która równa się rewolucji, walka zwycięska o zdrowy ustrój rolny i społeczną zasadę podziału wytworów pracy, nie znajdują współtwórców w poezji i prozie? Taki już zostanie nasz walczący realizm? Kiedy przemówią pisarze okrusu na przełomie?

Zamówienie społeczne nie może pozostać w sferze teoretycznych rozważań i postulatów

Józef Sieradzki

JULIAN PRZYBOS

NA LINII POETYCKIEJ

Heleńko przyjdzie mi mówić o sprawach ogólnych, niedostępnych doświadczeniu bezpośredniemu, tylekroć, za każdym razem od nowa, muszę w sobie przełamywać taki sam, równie silny opór. Toteż unikam rozważań nie opartych na sprawdzonym przez siebie materiale doświadczenia, wstydę się sformułowań przekraczających zakres krąg osobistego doznania. Okoliczności tak często zmuszają do posługiwania się niepowtórzonym przeze mnie doświadczeniem innych, że zdawałoby się, winien bym się już pozbyć tej skrupulatności sumienia. Jakiego sumienia?

Nie wątpię, nie mogę przecież wątpić o faktach stwierdzonych przez wielu, pojmuję wymowę abstrakcji i słusznych haseł, uznaję argument statystyki. Nie chodzi tu więc o zwalczanie skrupulatności w potocznym rozumieniu, nie powstrzymuje mnie jakaś nadmierna skromność, nie chodzi nawet o wątpliwości natury poznawczej. Nie jestem przecież naiwnym sensualistą. Myślę, że działa we mnie wrodzona i wywiedziona w ciągu życia cenzura sumienia artystycznego — ta sama, która skreślił w wierszu wszystko, co by nie było dogłębnie doznane. Nie tylko doznane, ale i w swoich najdalszych związkach i konsekwencjach zestrojone z całością dzieła, przetworzone organicznie. Każdy przecież nowy wiersz przysparza ciałek krwi poetyckiemu dziełu, czyni je żywszym, lecz zarazem on sam przez całość poezji jest wchłonięty i gwarantowany.

Rzeczywistość tak doznawana jest zarazem bardzo różnorodna i bardzo prosta. Tam, gdzie publicysta widzi tylko szereg cyfr, artysta ujrzeć musi za każdą cyfrą konkretnego człowieka. Gdy mówią „reforma rolna” — to ja widzę przede wszystkim obszar dworski w Konieckowej lub Lutczy, rozpoznaję tych małorolnych chłopów, którym za okupacji panicyk, pokłoniwszy się Niemcom, odebrał dzierżawę, widzę te przydzielone pola z ozi-miną, ten jeden worek maki więcej, ten garnuszek mleka i nowy elementarz dla dziecka Maćka Kozy — tysiące takich naocznych doznań, które sumują się — w jednym błysku syntezy — w prosty, radosny fakt: „reforma rolna”. W każdej chwili mogę wywołać tysiące takich różnorodnych widzeń i w każdej chwili złączyć je nie w łupinę nazwy, ale w wielką prawdę radości społecznej: reforma rolna. Mówię tu w pierwszej osobie, lecz nie jest to egotyzm. Jestem pewien, że to jest typ doznania właściwy każdemu artyście, a w szczególności pisarzowi.

Zawsze gorszy mi tupet frazeologów, którzy od razu, bez wielu zabiegów i trosk wywlekali „dusze” autora. Szczególnie groźni bywają w krytyce demagogi społeczni, pewni siebie karczodziej przepisanego programu i propagandy. Lekceważą oni sprawę dla artystów najistotniejszą, sztukę, wężąc za doraźnym sensem politycznym, insynuując i oskarżając. Doświadczyłem raz takiego zabiegu na sobie i odłąd pogarda moja dla frazeologów prawujących o ideologii poety bez szczegółowego wnikięcia w jego sztukę poetycką trwa niezmięszona. Na szczęście, teraz krytyki takiej u nas nie cierpimy. Nie lubię też gadania o „poezji w ogóle” — domagam się wnikięcia w poszczególne wiersze, jeden, drugi, trzeci, w zdanie poetyckie, rytm, rym, dźwięk. Tylko takie rzetelne badanie coś naprawdę daje i znaczy — i wnieść może przesłanki do sądów ogólniejszych o czyjejs poezji. Od ideologów nowej literatury oczekuję uściślenia zagadnień, niech mówią o tym nie jaką ma być poezja w ogóle, lecz jakie mają być nowe wiersze.

Bo coż można najogólniej powiedzieć o oczekiwanej nowej literaturze, co by nie brzęczało frazesem? Że ma być humanistyczna, to jest, że ma się zajmować człowiekiem? Ale najpierw trzeba odpowiedzieć szczegółowo, jakim człowiekiem. Trzeba umieć wskazać, jakiego człowieka kochać, jakiego nienawidzić. Dziennikarz rozstrzyga tę wątpliwość bez wahania, świat jego łatwo mieści się w schemacie; wstecznik — postępowiec. Pisarz musi ożywić abstrakcje tysiącem zróżnicowanych typów ludzkich i spraw. Pisarz mieć będzie tysiąc wątpliwości, jednostkę rozszczepi na bijących się w niej wsteczników i postępców — i dopiero tą drogą wymierzy sprawiedliwość demokratycznemu światu. Pisarzowi nie wolno upraszczać, krytyk-ideolog powinien być wolny od nawyków urzędu propagandy produkującego slogany w rodzaju: „reakcja to ostoja wstecznicstwa”. (Takie hasło oblepiało przed paru miesiącami mury Warszawy).

Trzeba sprawdzać, trzeba przymierzać do najdrobniejszych obrazów i zdań ów miernik

człowieczeństwa, ów postulat humanistycznego realizmu, proklamowany na naszym zjeździe w Krakowie. Ukazały się pierwsze tomy powojennej prozy polskiej, badajmy jaki człowiek jest ich bohaterem. Czy już nie ten sam bezradny dekadent, poza tylko ratujący się katastrofista? W poezji, której bohaterem jest „liryczne ja” autora, najdrobniejsze przesunięcie akcentu ma duże znaczenie. Liryka bywa najczulszym wskaźnikiem przemian moralnych, sejsmografem wstrząsów społecznych zapisanych w odczuciu poety. Dlatego to tak ważne i tak ideologicznie wymowne są zmiany techniki poetyckiej. Często prawdziwiej niż anegdotyczna treść utworu poetyckiego — o jego sensie społecznym mówi forma. Przez formę rozumiem nie tylko zewnętrzny przystroj rymów i rytmów, ale to, co się zowie „formą wewnętrzną”, wynik wrodzonych dyspozycji i woli kształtowania. Wiersz o księżycu może być bardziej ludzki niż elegia oplakująca zburzoną Warszawę.

Niektórzy moi koledzy i przyjaciele — poeci sądzą, że wystarczy dopracować się nowej „ludzkiej” postawy, a wszystko inne, to jest nowe wiersze, nowy ich wygląd i wyraz — będą jej przydane. Powtarzają ustawicznie: dzieje, historia, człowiek... Obawiam się, że ta celebrowanie człowieka może być pojęta przez innych, mniej świadomych, po staremu, to jest po drobnomieszczańsku, sentymentalnie. Pojęcie człowieka oczekuje nie obowiązująca do niczego leżą chrześcijańskiej litości, że człowiek to wizerunek boży, święta rzecz. Lecz nie każdy człowiek jest rzeczą świętą. Jakiego człowieka kochamy, z jakim się solidaryzujemy? Tego, który robi dzieje, człowieka twórczego, człowieka pracy. Robi dzieje bez deklamacji o tym i bez wzniosłej pozy. Pisarz, zwłaszcza prozaik, musi ogarnąć całość dziejących się dziejów — ale winien mieć taką samą czynną, roboczą postawę, na konkretnych faktach-obrazach ukazywać sens historii, a strzec się abstrakcyjnej deklamacji, koturnowego patosu. Mówmy po ludzku, to znaczy tak, jak myśli i tworzy człowiek godzien tej nazwy, człowiek pracy. Czy można sobie pomyśleć robotnika, którego by nie interesowały sposoby produkcji i nowe narzędzia pracy? Czy można sobie wyobrazić poetę, którego by nie zajmowała sztuka poetycka, który by nie dążył do usprawnienia i odnowienia swoich narzędzi? Tylko bardzo senny gnuśnik sądzić może, że wszystkiego w dziedzinie techniki poetyckiej dokonano za niego, że należy tylko trzymać się klasyków, a da się poezję odpowiadającą naszym czasom. Tak ludzi się może tylko ktoś, kto — jak mawiał Peiper — oddaje się klasycy-snowi.

Szukajmy tych „proporcji ludzkich”, które są w dziełach klasyków nie tylko w sobie. Twórzmy je na nowo w naszych dziełach, odkrywajmy w sposobie tworzenia. Róbmy poezję, która by godna była klasyków nie przez epigoniczne dziedziczenie, ale przez własny dorobek artystyczny. Nawoływanie do poszukiwania nowej poezji w sobie, a nie, równocześnie, w wynalazkach wiersza — nie znaczy więcej niż romantyczne „miej serce i patrzaj w serce”. Odżegnywanie się od poetyki grozi zejściem na manowce egotyzmu. (A może też być egotyzm à rebours, sztuczna eliminacja „ja lirycznego”, dążenie do obiektywności, do relacji prozaicznej, do agitacyjnej hasłowości). To są niebezpieczeństwa, które grożą każdemu z nas, jeśli mówiąc o poezji, poprzestaniemy na ogólnikach. Precyzyjny, mówmy o konkretnych sprawach wiersza, a nie deklamujemy o nieuchwytności istocie poezji. Z metafizyki zejźmy na poetykę. I nie cofajmy się do arystokratycznego przesądu pseudoklasyków. Nie usiłujmy powtarzać za Boileau, że sztuka poetycka jest sprawą zastosowania obiektywnych norm, ustalonych od wieków. Myślmy — tutaj użyję odpowiedniego słowa — historycznie.

I jeszcze jedno. Miejmy odwagę oryginalności, nie oglądajmy się na wzory francuskie. Znaczna część nowoczesnej poezji polskiej rozwijała się niezależnie od nowatorów francuskich. Czytajmy też uważnie, co sądził się we Francji o stylizowanych staroświecko balladach Aragona. Nikt, i zapewne sam autor, nie uważa tej stosowanej poezji, w dobie okupacji niewątpliwie pożytecznej, za rewelację. (Przeciwnie, wyróżnia się liryki Aragona wolne od tej chęci doraźnego oddziaływania). Są to wiersze popularne, pełniące swoją pożyteczną służbę społeczną, jak np. u nas żołnierska poezja Broniewskiego. Nie trzeba więc teraz przesadzać w ocenie poezji Aragona, tak jak kiedyś przeceniono u nas rewolucjonizm Malraux.

Julian Przybos

HENRYK VOGLER

O poetyce Antoniego Słonimskiego

ANTONI SŁONIMSKI

GRANICA

Gdy analizujemy poetykę Antoniego Słonimskiego, badamy nie tylko osobowość artystyczną, lecz także cały okres historyczno-literacki, określony sposób myślenia i odczuwania poetyckiego. W szkicu niniejszym pragnęlibyśmy uchwycić właśnie ten typ wzruszenia artystycznego, które — jakkolwiek nie jest już rytmem wzruszeń dnia dzisiejszego — przedstawia jednak pewien doskonale zorganizowany system poetyckiego widzenia, charakterystyczny i reprezentatywny dla określonej społecznej rzeczywistości. Forma i kształt poetycki ukaza — jak zwykle — istotną treść ideową zjawiska literackiego, w swej zawartości już wprawdzie niewystarczającego dla nowoczesnych sposobów konstrukcji artystycznej, ale posiadającego swoją niewątpliwą — choćby historyczną — wartość i piękno.

I

Zewnętrznie istotną cechą poezji Antoniego Słonimskiego jest jej wyraźnie określona rytmika. Jest w tym Słonimski zgodny z grupą i kierunkiem poetyckim, do którego należy. Skamander w swoim zasadniczym wyrazie rytmicznym i wersyfikacyjnym jest dziedzictwem klasycznej i poklasycznej metryki z jej wierszem sylabicznym, zastąpionym później całkowicie lub tylko częściowo wierszem tonicznym, z jej przejrzystym układem zwrotkowym, regularną cesurą i — co za tym idzie — pewną nieuniknioną monotonna melodyjnością. Słonimski jest tego klasycznego dziedzictwa jednym z najklasyczniejszych spadkobierców. Poezja jest dla niego przede wszystkim muzycznością i nawraca on tym do owych najbardziej zamierzonych czasów, gdy ze słów skandowanych pod dźwięk liry wyrosła nazwa i pojęcie liryki. Słonimski usiłuje swą twórczością poetycką zamknąć nie tyle kształt świata, ile jego dźwięk. Tu leży pierwsza zewnętrzna różnica między kierunkiem, który on reprezentuje, a tym, który ujmujemy ogólnie nazwą awangardy. Awangardę (i wszystkie jej rozliczne odmiany) cechuje przede wszystkim pragnienie budowy, tęsknota do kształtowania nowego świata artystycznego. Stąd częste jej jakby geometryczne, matematyczne, nieraz abstrakcyjne, ale zawsze konstruujące formy. Paszeizm, do którego kierunek Skamandra w swej istocie przynależy, zmierza jedynie do zmysłowego spostrzeżenia starego świata. U Słonimskiego ta żądza zmysłowego widzenia przejawia się przede wszystkim w pasji dźwiękowego utrwalenia. Poezja Słonimskiego jest wyrazem tęsknoty do rytmu doskonałego.

„W żyłach moich nurtuje, rozwija się, płonie
Siła wieczna niezmienna w swej regularności.

„W przed nurtuje, rozwija się zanim zadźwięczy
Fala, co na powietrzu waży się i Jęczy,
Jako ton regularny bije kamertonu...“

powiada w jednym ze swoich najwcześniejszych sonetów (z cyklu „Harmonia“).

I poszczególne fragmenty przedstawianego świata ukazują mu się przede wszystkim w formie dźwięku. Dzień — zanim zagaśnie, jest „jak brzęk harfy arabskiej, co dźwięczy wśród nocy“ („Wieczór w Tyberiadzie“), „fontanna o księżycu śpiewa szklanym brzękiem“ („Orient“), „z brzękiem srebrzysta tarcza księżycy upadła“ („Niebo“), „w gorące zęby stukają o zęby jak drewno kastanietów“, „serce uderza z brzękiem w niebo jak w zwierciadło“ („Fala“), „słyszę w sapaniu lokomotyw — Rytm heksametru, w świsłach kół — Gra motyw — Co strofy pęd hamuje wół“ („Czarna wiosna“). Poezja to dla niego „struny dźwięczne“ („Ślawa“), w patetycznej dyskusji z Apollinem („Patos“) zapowiada: „I w dostojne me słowo — Będę dzwonił miarowo — Samym dźwiękiem upoję jak winem“. We wstępie do poematu „Oko w oko“ istotę poezji widzi „w rozkołysanym podobieństwie dźwięku“. Dźwięk regularny, miarowy, rytmiczny jest u Słonimskiego kluczem do zrozumienia poplątanej zagadki świata, on opanowuje i wyjaśnia chaos niepowiązanych z sobą żywiołów. Charakterystyczny jest pod tym względem ustęp z „Wieży Babel“, gdy inżynier Thomson, chcąc opanować szaleństwo zdeorganizowanego tłumu nie rozumiejącego już słów, krzyczy:

„...Jeśli nie rozumieją słów,
Muzyka ich uspokoi, muzyka!“
I chwytą w dłoń batutę:
„Marszał! Rytm straszliwy
Tłum rozpuścimy zatrzymaj
I zawrze w kłamy drżące
Harmonii!“

Ale dosłuchanie się rytmu jako istotnej cechy nie wyczerpuje jeszcze poetyckiej tajemnicy Słonimskiego. Chodzi tutaj o pewien określony rytm: rytm doskonały. Regularność rytmiczna strof Słonimskiego — często jeszcze regularność sylab, a zawsze akcentów — to zewnętrzny wyraz tej dominującej cechy poetyckiej: chęci uporządkowania, usystematyzowania świata, zamknięcia go w możliwie najprostszym i najbardziej przejrzystym, a tym samym najłatwiejszym do wylumaczenia schemacie. Całą zawziętość świata łagodzi ów mierzo-

ny, jednostajny, regularnie cyrkulujący rytm zwrotkowy. W związku z tym pozostają też tak częste u Słonimskiego motywy: dzwon, zegar, serce — symbole owej monotonnej rytmiki związującej melodię rzeczywistości układem miarowych drgań.

Jest to niewątpliwie uproszczenie, zubożenie skomplikowanej w swej istocie harmoniki nowoczesnego świata. Słonimski wystukując swój idealnie doskonały rytm, pragnie nim rozpaczliwie zwyciężyć niedoskonałą współczesność, ale w istocie sam zostaje zwyciężony przez idealnie klasyczną przeszłość. Nie łamie nowego świata, ale poddaje się starymu. Nie ma nowoczesnych instrumentów w pisanej przezeń partyturze. „Lira“, „lutnia“, „harfa“, „fletnia“ — oto ciągle jeszcze czynne u niego źródła dźwięków.

Ten mechaniczny rytm powtarzających się w usypiającej kołysankowej periodyczności strofek nazwał Przybó w swoim czasie „katarciarstwem“. W odniesieniu do poezji Słonimskiego jest w tym tylko drobna szczypta słuszności. Nie ma bowiem u Słonimskiego nic z bezdusznego automatyzmu pozytywki, jej upartej i tepej regularności. Słonimski jest poetą prawdziwym i szczerym. Ów idealny rytm ma on w krwi, jest on u niego żywy i organiczny. Tyle tylko, że poeta poddaje mu się może zbyt łatwo, nie broni się przeciw niemu, ale mu ulega niemal bez walki.

I w ten sposób spoza tej tęsknoty do rytmu doskonałego wyłania się ważny ideowo-społeczny rys osobowości Antoniego Słonimskiego. Poeta widzi i rozumie ideowe, polityczne, społeczne sprzeczności międzywojennego czasu (za podstawę analizy bierzemy również jego utwory poetyckie sprzed września 1939). Słyszysz doskonale dysonanse i kakofonie rzeczywistości rozdzielanej na strzępy przez konflikty społeczne, przez tragiczny niepokój czasów przełomu, domagającej się z rozpaczliwym krzykiem nowych i ostatecznych rozwiązań. Ale wszystko to układa mu się w miarowy, łagodzący i kojący rytm, wszystkie rozpryśnięte elementy świata łączy melodia regularna, idealnie doskonała jak wahadłowy rytm uderzeń zegara. Mimo wszystkie aktorskie pozy, teatralne gesty i wykrzykniki — Słonimski ma w sobie dostojny spokój klasycznego człowieka, który ufa, że światem rządzą w żelaznych klamrach formy zamknięta harmonia. A ściślej mówiąc Słonimski nie ma już w sobie tego spokoju — jest na to zbyt dojrzały i nowoczesny — pragnie go tylko mieć, dąży do niego i to jest ideowy sens jego tęsknoty do rytmu doskonałego. Lecz mieszczańska regularność rytmiczna, która niczego nie burzy nawet wtedy, gdy zmienia się w patetyczną gestykulację vers libre'u — niczego nie konstruuje i nie wznosi — nie jest wystarczającym rozwiązaniem poetyckich i życiowych — problemów. Poza jej gładką, czystą retoryką pozostaje cały burzliwy, nieuporządkowany i nieregularny świat. I niemożność pokonania tej nieregularności regularnością — oto także przyczyna pesymizmu, sceptycyzmu, zgorzknienia Antoniego Słonimskiego.

II

Jeśli weźmiemy pod uwagę sam materiał poezji Słonimskiego, zadziwi nas (poza pewną grupą wierszy odznaczających się raczej czystym werbalizmem) ich niesłychanie intensywne nasycenie konkretnością, ich szczerze wypełnienie gestym, chociaż różnorodnym surowcem znaczeniowym. W gwałtownej i namiennej gorącości utrwalenia pełni zjawisk umieszcza Słonimski obok siebie cały szereg realiów, nieraz niewspółrzednych, ale kładzionych ciasno obok siebie, bez przejścia stwarzającego między nimi potrzebny dystans. Opisując „Capri“ daje tylko cały szereg materialnych elementów, zgęszczonych recitativem wylczenia i schwytych niejako w oderwaniu, nie związanych ze sobą.

„Na szosie wóz turkocze, zaprzężony w osła.
Na trawie pod hotelami leżą mokre wiosła.
Sucho trzeszczy pod nogą elastyczna deska.
Łódka w słońcu jest biała, a w cieniu niebieska.
Róże, osty, cygara i okręt pocztowy —
Serce mam zbite szczęściem jak plac tenisowy.“

Takim samym systemem szczerłego nasycenia konkretnością pisany jest wiersz „Kodak“, — bez pośrednictwa ubocznych wyjaśnień nieszczęścia się obok siebie „automobil mokry“, „kropki rosę na palmach“, „cień głęboki w preri“, „żniwiarze w zbożu przybrani w burnusy“, „na niebie sinym żółto kwitnące kaktusy“, „szare kołki namiotów angielskich żołnierzy“, „biała deska z napisem: „Old Watsons Scotch Whisky“, a wreszcie na końcu wyjaśniający tytuł „mokry papier Kodaka czerwonny i śliski“.

Jeszcze jeden przykład — „Fiume“:

„Studnie kamienne, dzbany, wino i sorbety,
Wzgórza cedrowe, figi, pachnące doliny,
Palasie i pantofle, morwy i cytryny,
Korale Askalonu, Jaffy minarety.
Monastery, haremy, wielbłądy i owce,
Ciemne twarze i róże, wersety Korantu,
Modlitwy muezzina, gwizdzące parowce,
Bzy turkockie i czarni kupcy z Teheranu...“

Ma się złudzenie, jakoby tego rodzaju technika zbliżała Słonimskiego do bardziej nowo-

czesnego i świeższego ujęcia postulatów poezji lirycznej. Przeciwwstawiając się choćby zarzuconej teorii Potiebnina, że istotą poezji jest obraz — Słonimski zdaje się tu iść drogą śmiałych skojarzeń, łączących najróżnorodniejsze nieraz przedmioty wyobraźalne, z których zestawienia wynika liryczna wizja. Jest to — mogłoby się zdawać — odkrywcza droga pierwszych futurystów i Apollinaire'a. Ale powinowactwo jest tylko pozorne. W poezji awangardowej typu Apollinaire'a zjawiska asocjowane nie są tylko surowymi kawałkami rzeczywistości-przenoszonymi żywcem w wiersz, bez poddawania ich poetyzującej obróbce. Są to przede wszystkim funkcje wyobraźni przekształcające rzeczywistość, odwracające ją i skracające i w ten sposób uodniepniające prawdziwemu poetyckiemu — nie prozaicznemu — widzeniu. Elementy materialnej rzeczywistości składające się na ciąg lotnych skojarzeń Apollinaire'a (czy Eluarda) mają swoją własną abstrakcyjną wartość, swoją autonomię, poruszają się i układają według własnych wewnętrznych praw, doboru naturalnego i poetyckiego powinowactwa. Nie są to „róże, osty, cygara i okręt pocztowy“ odfotografowane z dokuczliwym autentyzmem, który nigdy autentyzmem nie jest i nie będzie, bo nigdy róża (lub jeżeli kto woli, cygareto) z najautentyczniejszego nawet wiersza nie będą różą (lub cygarem) rzeczywistości. Ale są to (jak u Eluarda) słowa a nawet tylko pojęcia, świadomie rezygnujące z beznadziejnych prób materializacji i przywracające symbolice słowa jego autonomiczną godność.

To nienasycone dążenie do konkretności jest też drugim źródłem tragedii osobistej poety. Bo jest rzeczą jasną, że jakkolwiek obfita byłaby mnogość gromadzonych elementów, zawsze pojawiają się ułamki, fragmenty czy nawet większe całości, na które nie będzie już miejsca w szczerze wypełnionym przedstawionym świecie. I nie można budować jedności z ułameków, bo są one nieprzeliczone i nieskończone, tak jak nieskończone — w swoich czysto biologicznych funkcjach — jest życie. Próby Słonimskiego konstruowania całości artystycznej z tych gromadzonych chciwie kawałków życia muszą kończyć się niepowodzeniem.

Ideowa treść takiej formy poetyckiej jest jasna. Słonimski nie ma w sobie określonego życiowego planu, nie widzi ogólnego zarysu spraw społecznych, ich jednolitej, konsekwentnej logiki, ich matematycznie zwartej konstrukcji. Mieszczański anarchizm każe mu rozbić tę powiązaną nieuchronnymi wewnętrznymi korelacjami całość, mieszczański pacyfizm zabrania walczyć o ład zorganizowanej struktury. Świat jest rozbitny na części, z których nie się skleić nie da, bo „może tak być — albo — może być inaczej“ („Pióra“), a „my wszyscy...płyniemy i nie wiemy, dokąd ani po co“ („Jaskółka“). Z tego rozbitcia na szczytliwy wiary, nadziei, entuzjazmu, całego życia wreszcie — rodzi się liryka zwątpienia, która szukając realizmu powróciła do — sentymentalizmu:

„Wróćcie, pasterze wygnani,
Dafnis i Chloe, Manon, Ninette:
Niech w rumowiskach fabrycznej sali
Kołuje i dzwoni flet.“

Tak oto krąg passeizmu zamknął się.

III

Jedną z dalszych charakterystycznych cech poezji Słonimskiego jest częste operowanie barbaryzmem. Barbaryzmy, według reguł tradycyjnej teorii literatury, są zasadniczym błędem stylistycznym, są zachwaszczeniem strony leksykalnej utworu, zepsuciem jego językowej czystości. W wierszu Słonimskiego jednak barbaryzm posiada swoją ważną funkcję. Sens jej można określić jako **egzotyzację życia codziennego**. Wiąże się to bezpośrednio z wymienionymi poprzednio elementami poetyki Słonimskiego. Słonimski tęskniący do doskonałego ujednostajnienia rytmicznego świata dochodzi do stwierdzenia powszedniości jako istoty zjawisk życiowych. (Ta, w pewnym sensie, apoteoza codzienności i szarzyzny jest zresztą znamieną dla przeważnej części grupy Skamandra, próbującego mitologizować i uwznioślić przeciętne jako charakterystyczną formę istnienia — fakt związany z mieszczańskim kultem „szarego człowieka“ w dobie międzywojennej). W jednostajnym, zamurowanym świecie nawracającej regularnie codzienności szuka poeta wyrwy. Egzotyzacja życia codziennego, jest wylotem, furtką, szczeliną pozwalającą wyrzeć poza zmechanizowaną rzeczywistość w tajemnicze i dziwaczne okolice. Barbaryzmy są u niego właśnie tym środkiem załamania stylistycznej równowagi przez element nieprzewidywany i obcy. Gdy w „Chanson pastorale“ maluje trawę „zieloną — Jak vert d'emerade“, błąkit lekki, wysoki — Jak vert Veronése“ i „bujnych włosów — Wonny noir d'ivoire“, gdy w „Patosie“ słowo poetyckie „drażni, nalega — Upaja, porywa i boli: Kolor, timbre i bel canto — Vincitore amante“, gdy w „Wenus straconej“ „Ave — dzwoniły dzwony — ave, gratia plena“, „w oknie kunsthändlera... lekko... bieżą Primavera“ („Botticelli“) a w „Rozmo-

Nie tam granica polska leży,
Gdzie kurhan świeci czarepami,
Gdzie panów wielkich i rycerzy
Blachy rozpadłe rdza przeżarła.
Granica leży między nami,
Krzywdą ją kreśli opiótkami
I tak się Polska nam przedarła:
Po jednej stronie w Salomei
Śnie srebrnym śpiąca czy umarła,
W zieleń księżycą roztopiona,
Cieniem błędząca po alei —
Po drugiej stronie, gdzieś z ugorów,
Jak wilk, co klami sięga gardła,
Czai się krzywdą rozwścieczona,
I w księżycową zieleń dworów
Pochodnie krwawe gniewnie ciska.
— Która ci droższa, która bliższa?
Z tobą gromado, czybo szara!
Brzydota gorka, biedo rzewna,
Z tobą gdy wreszcie wstajesz gniewna
Przeciwko Mgłom i Snom i Marom,
Co jak cmentarne, gnilne larwy,
Na uroczysskach opuszczonych,
Z księżycą srebrne kradną farby
I krew spijają z ciał strudzonych.
Za duchów pychę, żywych grabież,
Z tobą gromado pokrzywdzonych,
Weź moje serce, całe zabierz!

To nic, że w żalu i rozlerce,
Wciąż dalej będę bez nadziei,
Samotnie błędził po alei,
Czekając aż się świt przejawia.
Granica przeszła przez me serce,
A że rozdarła, więc się krwawi.

wie“ „tysiąc depez lata... bez odpowiedzi, choć „reponse payee“ — to cała ta mieszanina zwrotów francuskich, włoskich, łacińskich, niemieckich posiada swoje określone znaczenie. Barbaryzmy te są tu niejako aktem kapitulacji wobec rzeczywistości, która nie mogąc być opanowana w swoich wymiarach szuka rozpaczliwie ujścia w inny system. Jeżeli w wierszu „Żołnierze“ tysiąc wieków patrzących na żołnierzy napoleońskich z piramidy uśmiecha się pogodnie „jak France“ (nie jak „Francja“, ale koniecznie jak „France“), to nie dlatego, że poeta musiał znaleźć właściwy rytm do słowa „trans“. Ale dlatego, że obcy dźwięk i wyraz wyrzuca go nagle poza nudny powszedni świat w nieznaną i wskutek tego nęcący kraj egzotyki. Budowanie świata ze skromnych cegiełek codzienności niecierpliwi w końcu i naraz ze skromnej fasady wyrasta jakaś cudaczna attyka, kunsztowny kapitel innego stylu i obcej architektury.

Przeświadczenie, że ten świat codziennej żmudnej prostoty nie zagna nigdy odświeżającej, cudzej dla niego mowy egzotycznych przygód — oto trzecia przyczyna sceptycyzmu i ironicznego zgorzknienia poety.

Lecz nie tylko barbaryzmy są przejawem tej passeistycznej romantyki. Na równi z nimi należy postawić dalszą cechę poetyki Słonimskiego: **reminiscentje**, w szczególności literackie. Marchbanks i Candida, Charusek i Hil-lel, sakramentalny Romeo i Julia, Ruy Blas, Paweł i Virginia itd. — to nieodzowne, organiczne elementy składowe już nie treści ale stylu i techniki. Nie znaczy to, aby wiersze Słonimskiego były „literackie“ i „papierowe“. Są one żywe, wzruszające, poetycko uczciwe i prawdziwe. Znaczy to tylko, że budowane są one podług dawnych artystycznych wzorów i metod, kiedy to w centrum mechanicznego i zgodnego z życiową symetrią biegnącego planu literackiego musiła istnieć jakaś oś anegdotyczna, wokół której krystalizował się zarys wiersza. Przeciwwstawiający się temu postulat wiersza jako struktury o elementach powiązanych swobodnie mocą własnych wewnętrznych praw — jest bardziej nowoczesnym ujęciem zagadnienia.

Owe reminiscencje są również, do pewnego stopnia, wpływem tej — jak ją nazwalimy wyżej — egzotyzacji życia codziennego. Wprowadzając pomiędzy swoje strofy zaczerpnięte postacie z magicznego świata kinkietów teatralnych, zapomnianych czy pochłanianych ksiąg — czyni to poeta z tej samej przyczyny, dla jakiej Homer między swoich ludzkich Greków i Trojan wprowadzał mitycznych bogów Olimpu, tak jak klasycyzm wzywał na pomoc rekwiizyty starożytności, a romantyzm sięgał w fantastyczną krainę upiorów i duchów. Jest to pewien rodzaj obcej interwencji mającej ratować poeetę przed rzeczywistością, która nuży, zniechęca i z którą nie może znaleźć wspólnego języka. I w tym także wyraża się dostatecznie filozofia i ideologia Słonimskiego.

IV

Wymieniliśmy luźnie kilka elementów poetyki Antoniego Słonimskiego. Nie są one jedynie ważne i charakterystyczne dla analizy

KRYSZYNA KULICZKOWSKA

Refleksje pogwiazdkowe o wydawnictwach dla dzieci

CZY NIC SIĘ NIE ZMIEŃIŁO?

I znów, jak przed wojną, ukazały się na ładach księgarskich w okresie gwiazdkowym kolorowe wydawnictwa dla dzieci — luksusowe i skromne, dla młodszych i starszych. Fakt, że w tej dziedzinie przeszliśmy tak łatwo do porządku dziennego nad krwawym sześćdziesiątym jest pozornie pocieszający, a jednak... kryją się w nim powody do niepokoju. Jeśli w literaturze dla dorosłych pojawiają się zaledwie fragmenty i próby, w których autorzy usiłują z rzetelnym trudem wycisnąć ze stającej się rzeczywistości nowy — na miarę czasu — kształt słowny, czy tutaj nie obowiązują ta sama oszczędność, czy powinno się traktować literaturę dla dzieci jak zabawkę, która leżała przez kilka lat bezużytecznie, a teraz można ją wyciągnąć z kąta i niech dalej służy, choć naznaczona poważnymi rysami? W okresach przemian, tworzenia nowych wartości, tym baczniej trzeba uważać, co dajemy dzieciom do ręki, tym usilniej należy dążyć do wykorzystania dawnych błędów.

Tymczasem na rynku literatury dziecięcej zdaje się panować ten sam chaos i przypadkowość co przed wojną. Obok godnych pochwały reedycji utworów (przeznaczonych zresztą dla dzieci starszych), w których dominuje postępowa tendencja społeczna, humanitaryzm i szlachetna atmosfera życia w gromadzie (Wydawnictwa „Czytelnika” i „Książki”: „Nad czarną wodą” Górskiej, „Wesoła gromada” Porazińskiej, „Za zielonym wałem” Boguszeńskiej, „Marcin Kozera” Dąbrowskiej) — pojawiają się przedruki niektórych książek dlatego tylko, że były efektowne i poczytne i co gorsza — wydają się bez kontroli pedagogicznej nowe, bezwartościowe pozycje. Objawem pocieszającym są wprawdzie coraz liczniejsze głosy w prasie na temat podniesienia poziomu literatury dla dzieci; po moim artykule w „Odrodzeniu” (nr 50) równoległym torem i szlakiem tych samych niemal cytów z Czukowskiego (którego zresztą nigdy za duży!) — idą uwagi Wandy Grodzieńskiej w „Kuznicy” (nr 21), Z. Starowiejskiej-Morstinowej w „Tygodniku Powszechnym” o poziom moralny literatury dla dzieci, zaś J. Lipska w „Dzienniku Polskim” (nr 19) raz jeszcze — lecz jest to zawsze pozytywne — zbija anachroniczny już pozornie zarzut o niższości literatury dla dzieci. Niestety, łatwiej wychować dzieci niż dorosłych autorów przeznaczonych dla nich książek i nie można liczyć na szybki wynik apelu garstki świadomych rzeczy jednostek. Każdy z pisarzy dla dzieci tworzy w myśl swych najlepszych intencji i umiejętności, powinna jednak istnieć kontrola pedagogiczna, która decydowałaby o wartościowo nowo wydanych pozycjach i o przedrukowaniu wszystkich pozytywnych a wyczerpanych. Ponieważ warunki powojenne zmuszają do ograniczeń ilościowych, należy tym bardziej dbać o jakość i fakt, że w tej dziedzinie nie zaszyły istotne zmiany, stanowi już wobec ogromu zadań stojących przed literaturą dla dzieci — bilans ujemny.

ZNOWU BRZECZWA

„Tańcowała igła z nitką” i „Kaczka dziwaczka” — oto tytuły efektownych — dziś przedrukowanych przez „Czytelnika” książeczek przedwojennych, rozchwytywanych przez dzieci inteligentnie, a raczej przez ich rodziców, dla których stanowiły pełną wdzięku lekturę. Pisałam już o tych książeczkach, że reprezentują intelektualistyczno-werbalny typ twórczości dla dzieci, który mija się z ich nastawieniem psychicznym. W wierszach Brzechwy — podobnie jak u Tuwima — panuje zasadnicza rozbieżność między treścią a formą (jeśli użyć tego tradycyjnego rozróżnienia) — pewien dysonans, który nie daje dziecku pełni przeżycia. Forma ich bowiem jest przeważnie aż naiwna w swej prostocie, dużo tu refrenów i onomatopei, a jednocześnie zawartość treściowa, zabawna, lecz nieraz o posmak filozoficznym pointy — wymagają dojrzałości umysłowej. Ostatnio wyszła z druku nowa książeczka Brzechwy „O korsarzu Palemonie” („Czytelnik”), w której autor porzuca drogę swawolnych igraszek słownych, rozluźnia skondensowaną zagadkowość dowcipów i kroczy drogą tradycyjnej, płynnej opowieści, łatwiej przyswajalnej dla dziecka. Niestety w tej nowej fazie traci on swój największy wdźwięk — banalne, przestają być uroczą lekturą dla dorosłych, nie stając się tym samym literaturą dla dzieci. Baśniowość „Korsarza” nie idzie po linii dziecięcej fantastyki, żywa akcja urywa się nagle, świat nierealny pęka jak bańka mydlana, staje się wzięciem niby w „Dyziu marzycielu”, gotując dzieciom — jak słusznie pisze Wanda Grodzieńska — rozczarowanie. Wydaje się, że z drogi wyznaczonej przedwojenna twórczością Brzechwy nie ma odwrotu, że stanowi ona osiągnięcie szczytowe w sensie wysokiego poziomu artystycznego, a zarazem pewien ostateczny punkt dojścia przez swą aristokratyczną aspołeczność. Jeśli taki luksusowy produkt wyrósł na gruncie jałowości naszego przedwojennego życia, nie należy przysadzać go na dzisiejszą glebę. Wierszyki Brzechwy, które nie tworzą klimatu, nie mogą być przez dzieci w pełni zrozumiane, mają

jednak raczej bytu na łamach periodyków dla dzieci, gdzie stanowią barwne okrucy wśród dydaktycznych pogadanek, a także jako żywe dopełnienie rysunków w książeczkach obrazkowych.

Na tym samym miejscu należy się pochlebna wzmianka o obrazkowej książeczce Olgi Siemaszkowej z wierszykami B. Brzezińskiego „O kaczce, która kaszkę warzyła” („Czytelnik”). Rysunki — świetne! — utrzymane w tonie zabawnej groteski, lecz nie karykatury, kolorystycznie niezwykle jasne i pogodne, przemawiające do wyobraźni, a zasługujące na pochwałę z tego jeszcze względu, że nie dają fragmentarycznych wycinków rzeczywistości, jak to było ostatnio w modzie, lecz całość obrazu na dekoracyjnym tle, co stwarza wesołą, ciepłą atmosferę. Wierszyki melodyjne i miłe, lecz wiele więcej o nich powiedzieć nie można, oderwane od rysunków nie miałyby wartości. Triki w rodzaju Brzechwy o zapalkach, które „wyszły” z domu po schodach, o kaczce, która odeszła „z kwitkiem”, uzyskują zrównoważenie w żywej fabule i całkowite wyjaśnienie w przejrzystych rysunkach.

BAŚNIE... BAŚNIE...

A więc nareszcie baśni w literaturze dla dzieci zwycięża, więc nareszcie możemy nie obawiać się walki z nią, jak to dotąd bywało w okresach realizmu. Dobrze, ale jakie są te baśnie, a raczej potocznie zwane bajki? Wymieńmy je: „Bajki” A. Bigay-Mianowskiej, „Bajka o tatrzańskich krasnoludkach” Z. Wingertowej, „Gwiazdki śniegowe” i „O Jędrusiu i Ewce” Wiktorii Hessel-Zaleskiej, z przedruków „Bajka o Kosturku Azie i Burku” Homolacsa. Choć w ostatniej książeczce romantyczna straszność nastroju nieco już dzisiaj traci myśkłą, należy ją uznać za najbardziej pozytywną pozycję z wyżej wymienionych.

Dwie książeczki W. Hessel-Zaleskiej (wyd. St. Kamińskiego) — to pogodne opowieści o krasnoludkach, wróżkach i elfach, ożywiające przyrodę i świat dziecka. Powiastki te nie zawierają morału ani nawet zamaskowanego sensu pouczającego. Można by je mimo niskiego poziomu artystycznego traktować jako pozycje nieszkodliwe, ale — i to zmienia trochę postać rzeczy — dlaczego autorka pisze „krasnoludki znaleźli”, „pachnął”, „dzióbem”? Te uwagi są jednak jeszcze bliże w porównaniu z zarzutami pod adresem bajki Wingertowej. Jest to książeczka wydana przez „Koło pisarzy i artystów podhalańskich” w Zakopanie. Zdawać by się mogło — pozytywna inicjatywa. Regionalizm i elementy fantastyczne — a to wszystko pod kontrolą ludzi znających się na literaturze i sztuce, a więc poziom niewiele powinien pozostawiać do życzenia. Trzeba przyznać, że książeczkę wydana na pięknym kredowym papierze, rysunekki są zabawne, wesołe, kolorowane gładkimi plamami jak kalkomanie, lecz niestety zawartość... Czekamy, jaką to „cudną słodką bajeczkę powie dzieciom jasnowłosa wróżka która urodziła się i wychowała u stóp naszego kochanego „Gewontu”. Niestety, opis życia krasnoludków jest śmiertelnie nudny. Nie może być dla dzieci wystarczającą atrakcją, że krasnoludki zimą jedzą na „brylantowych narejatkach”, a latem „zostawiają na brzegu kabatki i czapeczki, zdejmują sandały i buch w samych porteczka do wody”. Męczące zdrobienia i częstochowszczyzna rymów jest już dziś nie do wybaczenia. Jeśli król był „dobry i sławny” — to oczywiście ród jego musiał być „starodawny”, czysto krasnoludkom „nie tylko nie zaszkodzi”, lecz także „dobrym zdrowiem nagrodzi”, a ponieważ „z pracą swą wesołość krasnale łączą”, to należało dodać, że „pewnie jako dzieci dobrze się uczyły”. W każdym razie nasze dzieci nie nauczą się z tej książeczki jak malownicze są Tatry i jak piękna jest mowa polska, którą stać na to, by w obrazach pełnych mocy i teźny od stworzyć urok polskich gór.

Bajki A. Bigay-Mianowskiej — to utwór, w którym niezbyt fortunna ludowa stylizacja kojarzy się z czułościowym idealizmem w rodzaju Buyno-Arctowej. Z. Starowiejskiej-Morstinowej w swych pochlebnych uwagach o tej książce podkreśla szlachetną myśl moralną, stwierdza następnie, że bajki te wykraczają poza literaturę dla dzieci sensu stricto, gdyż „autorka nie tylko chce zabawić i pouczyć, lecz sama wypowiedziada się w nich jako pisarka” pisze następnie, że bajki te są oryginalne i nie mają w sobie oklepanego motywu bajki klasycznej. Niestety, wszystkie te pochwały mają w odniesieniu do książeczki Mianowskiej sens pejoratywny. Cóż znaczy myśl moralna, jeśli podana jest w sposób czułościowy, jeśli poziom artystyczny do niej nie dorasta i jeśli, co gorsza, ekshibicjonistyczna chęć wypowiedzenia samej siebie ze strony autorki wybija się na plan pierwszy? Jakąż to oryginalność, jeśli pełno tu reminiscencji z Andersena, ze sztucznych baśni młodopolskich (rysunek do bajki „Mgła” przypomina żywo typ ilustracji do „Córki wodnicy” Bronisławy Ostrowskiej). Jakąż wartość ma fantastyka, jeśli nie jest zdrowa i świeża, jeśli nie wyrasta organicznie z rzeczywistości, lecz stanowi tylko doczepkę dla przeprowadzenia myśli przewodniej, lub

ucieczkę w świat nadziewski jako wyrównanie życiowych niedosytów. (Taki wyrażenia jak „świadomość wewnętrzna”, „rdzeń życia i sens” w książce dla dzieci mówią same za siebie).

Nie, nie wydajmy lepiej takich baśni, jeśli nie chcemy, by stan literatury dla dzieci zdecydowanie zmienił się na gorsze.

„JAK SIĘ WSZYSTKO ZMIEŃIŁO”

A jednak... pewna niepozorna bezpretensjonalna książeczka wybija się na tym tle jasną, pogodną plamą. Jest to opowieść dla starszych dzieci Hanny Mortkowicz-Olczakowej p. t.: „Jak się wszystko zmieniło” (wydawnictwo J. Mortkowicza). Tematem tej książeczki są przeżycia wojenne dzieci, a jednak byłoby krzywdzące nazwać ją „jeszcze jedną opowieścią o wojnie”, gdyż w szeregu nużących reportaży zajmuje ona miejsce odosobnione i wyjątkowe. Jeśli w społeczeństwie istnieje naturalny i zrozumiały odruch, by odgrodzić się od koszmarnych przeżyć, jest to w dużej mierze spowodowane zalewem notowanych na świeżo wspomnień, stanowiących niepotrzebne powtórzenie tego samego, co się przeżyło. Zupenie inaczej przyjmuje czytelnik utwór, który jest próbą przewyciężenia rzeczywistości wojennej — taką książkę nie tylko starsze dziecko, lecz także człowiek dorosły powita z westchnieniem ulgi.

Autorka nie kładzie nacisku na momenty pełne grozy i wstrząsów, nie apoteozuje zemsty, nie rzuca wreszcie szumnych hasel polityczno-społecznych, na które stępiła wrażliwość czytelnika, przedstawia codzienne życie rodziny przed i w czasie wojny, ukazuje w jakiej sposób ciężkie warunki przekształciły psychikę dzieci, wyrobiły w nich poczucie obowiązku i umiejętność przystosowania się do życia społecznego. Przemiana w duszach dzieci odbywa się naturalnie i po prostu, autorka unika nawet określenia pojęć moralnych, które stanowią odpowiednik tej przemiany:

To nie jest już posłuszeństwo, usłużność, ani odwaga, To życie, codzienne życie konieczne tego wymaga.

Autorka związuje zdobycze wewnętrzne dziecka w sposób organiczny z przeżywaną przez nie rzeczywistością, zrywając całkowicie z metodą narzucania dydaktyzmu z góry, a czyni to — należy dodać — z rzetelnym wysiłkiem artystycznym, unikając łatwizny w rytmie i dając szereg świeżych i żywych obrazów. Klimat opowieści przesycony jest szlachetnym humanitaryzmem i troską, by destrukcyjny wpływ wojny nie zaciążył nad psychiką dziecka:

„Tak chciała, aby wyrosli pełni miłości i czysti, A teraz przyszła wojna i uczy ich nienawiści”.

Autorka rozumie, że pokrywanie milczeniem niedawnych przeżyć jest drogą tak samo łatwą, jak wspomnianie ich w sposób nieskoordynowany, że należy podkreślać w nich to wszystko, co mogło mimo grozy tych lat — stać się czynnikiem konstruktywnym.

Opowieść Hanny Mortkowicz-Olczakowej cechuje obiektywny szacunek dla opisywanej rzeczywistości, a zarazem dystans w stosunku do niej, wynikający z moralnego jej przewyciężenia. Czyżby więc na skromnym terenie literatury dziecięcej — próba realizmu? W każdym razie pierwszy krok zrobiony, gdyż rewizja w stosunku do rzeczywistości wojennej to fundament, na którym można dalej budować.

Krystyna Kuliczowska



mal. Janina Konarska

Antoni Słonimski

formalnej. Pozostałyby do omówienia jeszcze inne zagadnienia jak np. problem rymu, metafory czy pointy, jako sposobu osiągnięcia szczytu dynamicznego — niemniej dla zasadniczych badań istotne. Ale przekraczałoby to ramy niniejszego szkicu. Dotychczasowa analiza starała się — może tylko innymi niż zwykłe środkami — wydobyć zarys ideowy poety tak, jak on się kształtował do września 1939. Z nim razem występował ostro i wyraziście kontur filozoficzny całej grupy, a nawet całego obozu społecznego. Lecz dziś mamy za sobą 6-letni okres wojny i okupacji, na skutek którego w naszym widzeniu poetyckim i społecznym nastąpiło wiele daleko idących przemian. Nasuwa się pytanie, jak okres ten wpłynął na analizowaną poetykę passeizmu, na grupę artystyczną, która ją wyznawała — i na Antoniego Słonimskiego.

Odpowiedź na to pytanie daje wydany obecnie u J. Mortkowicza zbiór wierszy Słonimskiego z lat 1939—1945 „Wiek, kłeski”. W zasadniczych zarysach obraz tej poezji i tego świata duchowego pozostał bez zmian. Spośród ważniejszych przeobrażeń podkreślić należy pewne udostojnienie formy wiersza. Tęskniąca do doskonałości rytmicznej pozostaje nadal, ale regularna melodyjność przedstawiona zostaje niejako na poważniejszy, głębszy ton. Pojawia się nawet heksametr i często stosowany jest polski aleksandryn: trzynastogłoskowiec. Rosną skłonności epickie na wzór „Pana Tadeusza” czy „Beniowskiego”, ujawnione we fragmentach większej całości „Popiół i wiatr”. (Ten sam charakterystyczny moment zaobserwować można u dwóch innych znakomitych poetów tej grupy: w „Kwiatach polskich” Tuwima i w „Bani z poezją” Broniewskiego, którego — mimo głębokich różnic — przecież także tu zaliczyć trzeba). W ten właśnie sposób ów wzorowy rytm passeizmu znajduje wreszcie swoje ostateczne spełnienie i formę w gotowym wzorze z przeszłości: w epopei wspomnień.

Oslabło także nieco owo zachłanne dążenie do zmysłowego ujawnienia świata i witalizm młodzieńczych lat po pierwszej wojnie. Gdy dawniej wierzył jeszcze Słonimski, że w słowie swoim może zamknąć całość zjawisk rzeczywistości i gdy głosił, że:

„Są słowa ostre, jako rapier,
Co, gdy na karty padną, w mig
Drą papier
I same w ustach rodzą krzyk”

(„Słowo”)

to teraz stwierdza z rezygnacją:

„Bracie, tych słów ja już nie mam.
Wszystkie wymyślił jesienią”

(„Wiosna londyńska”)

Egzotyzyzacja codzienności istnieje nadal. Barbaryzmy i reminiscencje snują się wciąż jak barwne nici w poetyckiej tkaninie, choć materiał uległ przeróbce: jest bardziej intymny, swojski, ojczysty. Krąg wzruszeń zacieśnił się wokół określonej sprawy. Jest nią wojna i klęska, utracona ojczyzna i dławiąca, choć gościnna obczyzna.

Tak więc nowy zbiór wierszy wykazuje pewną ewolucję: złagodnienie, sciszenie tonu, większa powaga i umiar. Ale w zasadniczej strukturze Antoni Słonimski pozostaje sobie wierny. Jest to zawsze ten sam samotny sceptyk, który mimo wszelkich wysiłków nie może w sobie i poza sobą opanować skłóconego i walącego się świata ani odbudować go na nowo innymi, lepszymi środkami, któremu pozostaje tylko „konar prawdziwy twardego drzewa — I mocny sznur” („Drzewa”). Poprzez zgorzkniałą melancholię, czuły liryzm i rzewną, choć nieskomplikowaną melodię — wyraża się poeta nawiązujący do najpiękniejszych tradycji poezji polskiej. I właśnie w tym jest ostateczny sens tej poetyki passeizmu. Poeta obrócony twarzą ku przeszłości w niej trwa i na niej się zatrzymuje, gdy równocześnie obok niej i ponad nią budują się nowe formy poezji i życia.

Henryk Vogler

CZY TEL. NIK	NAKŁADEM SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ „CZYTELNIK”	CZY TEL. NIK
	MIRA WIŚNIEWSKA MARMOTEK Z GÓR OPOWIEŚĆ GÓRSKA DLA MŁODZIEŻY STR. 72 ZŁ. 60.—	
	WANDA WASILEWSKA POKÓJ NA PODDASZU TOMIK 5 BIBLIOTECKI MŁODEGO CZYTELNIA STR. 128 ZŁ. 45.—	
	HENRYK SIENKIEWICZ W PUSTYNI I W PUSZCZY STR. 456 ZŁ. 120.—	
	DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH	
CZY TEL. NIK	SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”	CZY TEL. NIK

Trzeci list z Poznania

PARADOKSY WSPÓŁCZESNE

Pytałeś mnie w ostatnim liście o uniwersytet. Zastrzegasz się jednak, że nie jesteś ciekaw ani tego, jak się pracuje w nieoszlonych lub nieopalanym gmachach, ani jak profesowie mieszkają bez mieszkań, ani też jak studenci żyją bez obiadów. Dodałeś przy tym żartobliwie, że wszystko to graniczy z cudem, a więc przechodzi Twą przyrodzoną pojemność umysłową. Słowem prosisz o wiadomości, nie przekraczające granic modnego realizmu.

Podajesz jako przykład tego, co pragniesz wiedzieć: nastroje ogólne, ideologię, ducha panującego wśród młodzieży. Muszę ci powiedzieć, że bardzo się ubawiłem tym miejscem Twego listu. Nastroj, ideologia, a zwłaszcza duch to dla ciebie konkrety! Odwracasz wartości ustalone w sposób typowy Feuerbachowski. Przyznaję, że jest to pożyteczne, bo ogół pojął materializm historyczny jako zasadę ułatwień życia, naukę używania i filozofię egoizmu. Toteż na pewno wielu obywateli zaskoczyła surowa krytyka zjazdu nauczycielstwa polskiego za to, że przede wszystkim chce ono poprawić warunki swego bytu. Tych samych zresztą ludzi dziwią osobliwe aforyzmy zdobiące w epoce szabru dworce kolejowe: „Bilet to legitymacja obywatelska podróźnego”, lub nie mniej idealistyczne wywieszki na wystawach sklepowych, przypominające w najlepszej wierze, w czasach bezkarnego paskarstwa, że komisje etyki zawodowej czuwają nad dobrymi obyczajami w handlu! Ci, co się dziwią, nie znają Feuerbacha i jego idealizmu życiowego ugruntowanego na materializmie teoriopoznawczym. Cóż, życie przyzwyczało nas do proceduru odwrotnego: do szukania korzyści materialnych w ideałach. Twoje paradoksy są godne uwagi. Może i masz rację, że niektórych szczegółów z życia uniwersyteckiego nie należałoby rozgłaszać choćby z tego powodu, żeby nie dostarczać żeru fideistom, którzy przy swych znanych zdolnościach dialektycznych mogliby ułożyć z życia nauki polskiej wielce niebezpieczną apologetykę jakichś snów na jawie. Że niby warunki ekonomiczne jako podłoże tak zwanych zjawisk duchowych to lekka przesada... Że można tworzyć wysokie wartości kulturalne bez warunków, a przy dobrych warunkach pleść na wiecach trzy po trzy... Że kalorie i witaminy to mistyka, a grunt to ideał i duch... Że w ogóle odrzucenie materii lepiej tłumaczy wiele faktów współczesnego, jakże bohaterkiego życia, niż negacja ducha... Szkice do tego fundamentalnego dzieła ukazują się niekiedy w prasie.

WICEMIN. BIEŃKOWSKI W POZNANIU

Wobec tego będziesz miał list na tematy pozamaterialne. Niezłą sposobność daje mi do tego wizyta wiceministra oświaty. W. Bieńkowskiego w Poznaniu. Po raz to pierwszy zjechał do nas wysoki przedstawiciel oświaty. Na wiecu akademickim, na którym minister przemawiał, tłok był nie do opisania, napięcie i zaciekawienie niebываłe. Mówca od razu nawiązał kontakt ze słuchaczami, zelektryzował salę swym sposobem wykładu pozornie prostym, świadczącym jednak o nie byle jakiej praktyce estradowej. Brawom nie było końca. Nie wątpię, że wyprężonoby konie i zaciągnięto powóz dostojnego gościa do hotelu, gdyby nie lubiący romantycznych odruchów minister nie przyjechał autem. Wystarczy ci powiedzieć, że w sprawozdaniach nazwano podsekretarza stanu „ministrem młodzieży akademickiej“.

Wybuch entuzjazmu nastąpił największy w chwili, gdy padły słowa, że ministerstwo nie narzuca młodzieży poglądów i zapatrywań oraz gdy oświadczone, że to co w Polsce jest obecnie to nie jest demokracja, że demokracją będzie można nazwać dopiero to, co w Polsce będzie.

Zapewne dziwisz się, że takowe niby podstawowe zasady ustroju demokratycznego jak wolność przekonań, budziły sensację. Odniosłem wrażenie, że zaskoczyło to także ministrę, wrażenie, że zaskoczyło to także ministrę, wrazenie, że zaskoczyło to także ministrę. Tajemnica tego polega na pewnej atmosferze, w której młodzież żyje. Tak dotąd nikt do przyszłej elity społeczeństwa nie przemawiał. Rewelacją było dla studentów wystąpienie ministra przeciw tabuizacji pewnych tematów drażliwych. Minister wezwał młodzież do żarliwego dyskusowania kwestii najbardziej palących i jątrzących. Postawił tylko jeden warunek: żeby dyskusja odbywała się na poziomie akademickim, żeby rozwiązania, jakiegokolwiek będą, były godne człowieka z wyższym wykształceniem.

Po tym stwierdzeniu zapanowała na sali przejmująca cisza. Takim zaufaniem nikt ze

sfer urzędowych nie obdarzył dotąd tej młodzieży. Cisza ta mówiła także o czymś innym: takiego dostojnego ciężaru, takiego obowiązku myśli politycznej i odpowiedzialności nie zdoła włożyć na człowieka nic w świecie poza świadomością pełnej wolności.

Reakcją młodzieży tłumaczy dostatecznie atmosfera panująca na prowincji. Brak szczerości i zaufania. Młodzież żyje między bezdusznym, podejrzliwym biurokratyzmem i plotką szeptaną na ucho. Władze administracyjne mają wystarczająco kłopotów własnych, a prócz tego przyczyniają sobie niepotrzebnie pracy wtrącaniem się do spraw nie swoich, tak, że niewiele mogą uwagi poświęcić na zagadnienia wyższego rzędu. Zagadnienia te zresztą nie nadają się do załatwienia ryczałtowego, w trybie administracyjnym. Są one delikatne, wymagają czulej ręki i wyrozumiałej cierpliwości. Wychowania nie można przecież w XX wieku sprowadzać do środków dyscyplinarnych; to przede wszystkim sprawa wielkiej ideologii moralnej i społecznej.

„KASSJUSZ ZA DUŻO MYŚLI” CZYLI UWAGI OGÓLNE

Nieszczęściem każdego rządu bywa machina biurokratyczna oddzielająca go od społeczeństwa; niebezpieczeństwo izolacji jest dzisiaj groźniejsze niż kiedykolwiek, bo machina ta jest jeszcze niewyroblona, a przy tym bar-

dzo ambitna, co prowadzi nieraz, mówiąc obrazowo, do nietaktownego zasłaniania ministra przez woźnego lub szofera. Minister każe młodzieży myśleć odważnie, na uniwersytecie powtarzają jej do znudzenia, że studia wyższe to szkoła samodzielnego myślenia i własnego dopracowywania się wyników. Tymczasem władze administracyjne zbyt często są zwolennikami powielanego słowa, woła, żeby obywatele podpisywali gotowe formularze i martwią się jak Juliusz Cezar w dramacie Szekspira, że Kassjusz za dużo myśli!

Stąd znaczenie kontaktu osobistego polityków z wyborcami w ustroju demokratycznym. Na odwrót, symbolem despotyzmu i jego narzędzia, bezdusznej biurokracji, będzie zawieszony na żerdzi kapelusza cesarskiego namiestnika, któremu mają się kłaniać poddani. Słyszając różne uwagi po mowie wiceministra Bieńkowskiego dochodzę do wniosku, że jedna taka wizyta może odegrać ważniejszą rolę niż dziesiątek rozporządzeń, akademii, pochodów, nie mówiąc już o otwieranych przy byle sposobności służach pustostłowa dziennikarskiego — do redaktorów bowiem gazet odnosi się sumarycznie przekleństwo biblijne, którym Jehowa starał się sprawiedliwie obdzierać obydwie płci: w boleściach artykuły wstępne rodzic będziesz i w pocie czoła pożywać będziesz owoców pracy swojej i przekłete

będzie (przez czytelników) słowo w dziele twoim...

Niedawno pokpiwał Ważyk z jakiegoś starosty czy wicewojewody, który żądał od literatów, żeby pisali jednoaktówki. Znam wypadek, że urzędnik zwietrzył pacyfizm w wierszu Konopnickiej „A jak poszedł król na wojnę“ i wobec tego nie można było wykonać na akademii popularnej piosenki do tych słów. Opowiadano mi, że w pewnym mieście pan burmistrz zwoływał dyrektorów szkół średnich na konferencje i wydawał własne zarządzenia, sprzeczne z okólnikami kuratorium. Raz poszli ludziska, bo naiwnie myśleli, że im coś z Unrry kapnie. Poszli drugi raz, bo sądzili — niepoprawni materialści! — że będą węgiel rozdzierać. A potem przestali chodzić i czytali spokojnie swoje okólniki. Ojciec miasta uważał po prostu, że on jest od wszystkiego i zapewne nie małe było jego zdumienie, gdy powiedziano mu wreszcie bez ogródek, że oświata zajmuje się władza szkolna. Zdarzają się jeszcze dziwniejsze wypadki, że np. jakiś urząd zwraca się do młodzieży na terenie szkoły z pominięciem kierownictwa uczelni.

Jak we wszelkich początkach tak i w naszej odbudowie pomieszczenie kompetencji jest na razie nieuniknione. Najtrudniejszy to zresztą problem organizacyjny. Wiem o tym coś nie coś, bo w czasie wojny sam zajmowałem się organizacją pracy w przedsiębiorstwie przemysłowym: ile utajonych osobistych animozji i przyczajonych urazów prywatnych kryje się zwykle poza teoretycznym lub nawet ideologicznym sporem o zakres działania, o honor kompetencji! Nie przejmujemy się tedy zbytnio, gdy związek tramwajarzy (mówię przykładowo) uchwali votum nieufności dla rektora jakiejś wyższej uczelni, gdy członkowie straży pożarnej ogłoszą uroczysty protest przeciw nadmiarowi przysłówków i bezokoliczników w wierszach Przybosa; albo gdy jakaś gazownia miejska na walnym zgromadzeniu swych pracowników zabroni prof. Kleinerowi zajmować się Słowackim!

Nie są to jednak rzeczy groźne. Z tego się wyrasta jak z ubrań dzieciństwa. Administracja też powoli wyłubi sobie właściwe koryta i przestanie urządzić periodyczne, niszczycielskie powodzie na gruntach niżej położonych, czyli minoris resistentiae. Nie mają być rzeczą roztrząsać, czy uniwersytety spełniają swą rolę — to należy do Ministerstwa Oświaty. W ręku ministra są słowa i czyna profesora, jak znów działalnością wojewodów, szefów bezpieczeństwa lub naczelników urzędów mieszkaniowych zajmują się inne odpowiednie resorty.

Dwie rzeczy można jednak na pewno stwierdzić. Pierwsza: jak manifestacja przeciw starości (mówię przykładowo) byłaby źle widziana przez państwo bez względu na winę starosty, jak wiec urządzony przeciw wojennemu komendantowi byłby obrazą Ministerstwa Obrony Narodowej, bo w tych wypadkach są przewidziane inne drogi służbowe, tak samo heca przeciw senatowi jakiejś uczelni będzie uchybieniem przeciw powadze Ministerstwa Oświaty. Druga zaś następująca: utożsamianie jednego czy drugiego profesora z uniwersytetem albo jeszcze gorzej z nauką polską jest zawsze społecznie szkodliwe, a dziś w dobie odbudowującego się szkolnictwa i z trudem dźwigającej się pracy naukowej szczególnie niebezpieczne wobec wojennego zdżyczenia obyczajów i niewybrednych metod walki politycznej.

A może nie tylko młodzież uniwersytecką miał na myśli wicemin. Bieńkowski, gdy przyznawszy prawo do dyskusji najdrażliwszych, żądał tylko jednego: żeby rozwiązywano zagadnienia na poziomie akademickim? Wiele spraw wymaga w Polsce naprawy lub reformy. Szkolnictwo nie jest żadnym tabu. Dyskusja jednak na temat uniwersytetu winna się odbywać na poziomie uniwersyteckim. Bynajmniej nie przez wzgląd na uniwersytety, senaty akademickie lub profesorów. Po prostu wymaga tego dobro nauki polskiej oraz interes państwa.

Wacław Kubacki

Wszystkie wydawnictwa nadsyłane do redakcji będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości w dwóch egzemplarzach.

Literatura francuska w 1945 r.

Literatura francuska w r. 1945 rozwija się pod znakiem „Oporu“ (Résistance). Przyjaciel mój Robert Kamp stworzył nawet słowo resystencjalizm, które ma podwójne zastosowanie, gdyż określając tendencję, o której wspominałem, zawiera w sobie zarazem nieco kłapiącą aluzję do innej współczesnej tendencji: egzystencjalizmu, który również stanowi centrum zainteresowań w tym roku. Sprawa „Oporu“ osiągnęła szczyt aktualności literackiej w lipcu ub. roku, kiedy to Akademia Goncourtów nagrodziła zbiór nowel Elzy Triolêt „Pierwsze potknięcie kosztuje dwieście franków“, z którym rywalizowała wyblitna powieść Roger Peyrefite'a „Sympatie szczególne“ nagrodzona przez jury Renaudot. Wiele mówiono wówczas o powieści Peyrefite'a, mówi się o niej jeszcze dzisiaj. Powieść ta była i jest nadal przedmiotem zacieklej dyskusji. W niektórych kołach wywołała nawet skandal. Na czoło literatury „Oporu“ wysuwa się, przynajmniej w chwili obecnej, „Wychowanie europejskie“ Romaina Gary, które otrzymało Nagrodę Krytyków. Rzecz ciekawa, tematem jej nie jest konspiracja francuska, lecz litewska (chyba polska, przyp. tłum.), którą Gary, lotnik francuskiej eskadry Royal Air Force, znał tylko ze słyszenia. Czyżby to miał być dowód na poparcie tezy, że bezpośrednia obserwacja i naoczne doświadczenie krepują raczej, niż pomagają pracy wyobraźni twórczej i że lepiej jest obejść się bez nich, jeśli to jest możliwe?

Sądźmy, że jest to sprawa temperamentu. Wiele przykładów można by przytoczyć na poparcie tezy przeciwnej, według której opisać można tylko to co się zna naocznie. Tak np. Jean Louis Bery w powieści „Moja wieś za Niemców“ wyzyskał zapewne w znacznej mierze to, co Victor Hugo nazywał „rzeczami widzianymi“; przetworzył je jednak tak dokładnie, że obok „Wychowania europejskiego“, które wydaje się kopią natury — powieść jego może uchodzić za rodzaj poematu epickiego i humorystycznego. Bery stanowi na równi z Garym jeden z sukcesów ubiegłego roku.

To samo można powiedzieć o Roger Vaillant, autorze „Śmiesznej gry“. Roztoczony w niej obraz konspiracji przedstawia w sposób dość kłopotliwy postawę moralną niektórych bohaterów.

Ażby nie popaść w zwykłe wyliczanie, poprzestaną na wymienionych wyżej pozycjach, dodając jedynie, że — jeśli w pierwszej połowie 1945 roku krytyka mogła wątpić, czy nowe pokolenie stanie na wysokości poprzedniego, które stworzyło świetną literaturę pierwszej wojny światowej — to w obecnej chwili czuje się ona uspokojona. Literatura konspiracji nie ustępuje w niczym swej poprzedniczce, literaturze wielkiej wojny.

Drugą dominantą roku 1945 jest egzystencjalizm. W obecnej chwili stał się on prawdziwą „piłą“. Niesposób pójść na obiad do restauracji, by nie spotkać znajomej, która biorąc was na bok zadaje nieśmiałym tonem usłużone pytanie: „Niech mi pan wytłumaczy, co to jest egzystencjalizm“. Trzeba — jak mówią — stać na wysokości i nie uchodzić za ignorantkę, kiedy rozmowa natrafi na ten najmodniejszy dzisiaj temat. Znajoma dodaje niekiedy: „A czy pan zna tego Sartre'a,

który pisze takie okropności?“ Biada ci, jeśli wyznasz, żeś nigdy nie widział ani Sartre'a ani panny Beauvoir! Jesteś na zawsze zgubiony w opinii pięknej pani. Na szczęście nie jestem w tym położeniu i cieszę się zawsze wielkim powodzeniem towarzyskim, kiedy pokazuję moim znajomym Sartre'a i pannę Beauvoir, którzy już od godziny dziewiętej rano pracują każdy przy swoim stole w kawiarni „Flore“, jak uczniowie w klasie. Powieść panny Beauvoir „Cudza krew“ rozwija mniej więcej tę samą ideę, co dwa pierwsze tomy „Drogę wolności“, gdzie autorka wysuwa zagadnienie odpowiedzialności i solidarności ludzkiej, zagadnienie, które ma zamiar rozstrzygnąć w niecierpliwie oczekiwanym trzecim tomie. Egzystencjalizm w tej powieści wyraża się przy pomocy pewnych amerykańskich chwytów, zwłaszcza monologu wewnętrznego, który jest zresztą wynalazkiem francuskim. Mam nadzieję, że się ich w przyszłości wyzreknie. Wszelkie kruzki literackie, zwłaszcza kiedy są tak widoczne i tak podkreślane, starzeją się bardzo szybko. Nie chcemy umniejszyć bynajmniej przez to zasług Sartre'a i panny Beauvoir. Ci nawet, którzy najbardziej są skłonni atakować ich przesadę, chylą głowy przed ich talentem.

Obok egzystencjalizmu czy sartryzmu do głosu doszło w tym roku coś, co nazwałbym bendaizmem, gdyby to słowo było możliwym. Mamy jeszcze w pamięci atak Juliusza Benda, skierowany najpierw przeciw bergsonizmowi, następnie zaś przeciw zdrajcom „klerkizmu“, zwłaszcza Maurras'owi. Tym razem Benda polemizuje z modernizmem literackim w imieniu wieczystego intelektualizmu. Potępia całą współczesną literaturę (Prousta, Gide'a, Claudela, Giraudoux itd.), zarzucając jej, że pragnęła niezależnie działalności duchową od wszelkiej innej. Czyż jednak wymienieni powyżej pisarze mieli kiedykolwiek zamiar zerwać z inteligencją i z logiką? Surrealiści bez wątpienia tak, ale Gide? Ale Valéry? Nie tu jest miejsce, by wdawać się w podobną dyskusję. Polemikę wywołaną przez Benda należy jednak określić jako jedno z najwybitniejszych zdarzeń tego roku.

Należałoby jeszcze dla całości obrazu wymienić sporo wyróżniających się z rozmaitych przyczyn dzieł literackich. Brak mi na to miejsca. Literatura jest, obok polityki, niestety, gałęzią twórczości narodowej, która rozwija najszybciej. Jest to najbardziej godne uwagi, że cierpi ona właściwie na brak środków materialnych, papieru, drukarni itp. Nie mogę jednak pominąć milczeniem niskiego poziomu naszej poezji. Wiem doskonale o istnieniu przeglądów poetyckich, gdzie się uprawia kult najwyższych, jakie człowiek może wyrazić słowami, ideałami, lecz — pomijając już to, że poezja tzw. czysta zabrnęła, jak się wydaje w zaułek — poezja konspiracyjna stanowi dla nas jeszcze większe rozczarowanie i nie potrafi zaspokoić oczekiwania spragnionej wzruszeń publiczności. Żywotność powieści jest dowiedziona i wstrząs ostatnich lat szczęście wyszły jej niewątpliwie na dobre. Żywotność poezji należy dopiero dowiedzieć i wątpię chwilami, czy możemy się tego spodziewać.

André Billy

Droga przez zwątpienie



rys. Edward Głowacki

Ksawery Pruszyński

Ksawery Pruszyński: Droga wiodła przez Narvik. Powieść. (Warszawa), Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza”, 1945; str. 237 i 3nl.

Droga, wtedy gdy jeszcze wiodła przez Narvik, była — wydawało się — prosta, a przeszkody, które się na niej wznosiły, były tak samo naturalne jak góry lub morze. Wystarczyło wziąć mapę do ręki, aby ustalić bezbłędnie przestrzeń, jaka się między nami a nimi rozlegała.

Wtedy jeszcze byliśmy w stanie przewidywać miejsca, na których postój im wypadnie i nie lękaliśmy się, że mogą się pomylić na którymś skrzyżowaniu. Zbyt uczynna była wówczas łączność techniczna między nami. Oni mieli w świeżej pamięci pragnienia, które im do zaspokojenia przekazaliśmy. My mieliśmy do nich całkowite, bezgraniczne zaufanie.

Potem nastąpił okres, kiedy porozumiewaliśmy się za pośrednictwem politycznych emisariuszy. Chociaż do Angers również jeździł łącznicy, to jednak poczta, którą zabierali, nie zawierała żadnych przesłań, które mogłyby spowodować przesilenie w rządzie. Przywozili z powrotem szczegółowe instrukcje natury wojskowej. Dopiero potem, między Londynem już a Warszawą krążyły zapytania, wyjaśnienia i żądania ultimatywne, dopiero potem przybycie emisariusza stawało się powodem głosowania w Radzie Narodowej oraz konfliktu między PZP a Delegaturą Rządu na kraj.

Wtedy kiedy droga wiodła przez Narvik, nie dzieliły nas — w ówczesnym i dzisiejszym przekonaniu — ani rozpacz, ani nadzieje. Tylko front i przemoc niemiecka były między nami.

Ksawery Pruszyński usiłuje w książce swojej oddać tamte doświadczenia, zatrzymać czas tamtych przeżyć, utrwalić i przechować tamte wzruszenia. Czytana dziś, książka Pruszyńskiego jest konfrontacją dwóch współczesnych sobie czasów przeszłych. Czytając ją niesposób nie myśleć o innej książce, w kraju napisanej, a zawierającej w innym czasie przeszłym umiejscowione wzruszenia i przeżycia, o „Kamieniach na szaniec”. Nie będą tych książek porównywalnych, gdyż zbyt wielka odległość geograficzna doświadczeń je dzieli, stwierdzą tylko, że pozostawiają ślad równie głęboki.

Od Narviku drogi nas, będących w kraju, i ich, będących na emigracji, z każdym rokiem, chciałoby się powiedzieć: z każdym dniem, rozchodzą się. Czas, który odmierzał nasze życie, był inny i porozumieć się dzisiaj jest już często niemożliwością. Biorąc jednak książkę Pruszyńskiego do ręki, po przeczytaniu pierwszych jej stron dzieje się, że spotykamy się, witamy serdecznie wszyscy i, wydaje się, możemy porozumieć się znów jak w czasach, kiedy jeszcze nie było między nami emisariuszy politycznych.

„Droga wiodła przez Narvik” jest książką prostą, pisaną bez pretensji. Autor już w przedmowie zapowiada taki jej charakter. Nazywa książkę opowieścią i zwierza się, że pragnął „oddać prawdę najściślej procesów myśli, przemian duchowych, nastrojów, jakie narodziły w huku armat, na dalekiej północy”. Stwierdza, że postanowił wypowiedzieć „na teraz i na potem to, co myślało, czym się trapiło, o co walczyło, nad czym bolało, w czym pokładało nadzieje owo młode pokolenie, które do tej armii poszło przez granice, góry i lasy...”

Tak. Właśnie najciekawsze stronicie książki Pruszyńskiego są te, na których „procesy myśli i przemiany duchowe” wyrażone są bezpośrednio. Stron takich jest wiele, gdyż publicystyka została po prostu wmontowana

w opowieść. Byłoby to wadą kiedykolwiek, w wypadku Pruszyńskiego nią nie jest. Bo tutaj chodzi nie o zdarzenia, nie o przeobrażenia jednostkowe, ale o przekrój przeobrażeń powszechnych, o myśl wspólną Polaków na emigracji.

Akcja wojenna, dwa tygodnie ciężkiego frontu pod Narvikiem, to tylko krajobraz, w którym odbywają się procesy myślowe. Pełne napięcia walki 11 Baonu Strzelców Podhalańskich, losy drużyny, która dostała się w dwa ognie niemieckich pozycji, trzykrotnie przekradanie się podchorążego Czeczela pod niemieckim ogniem na kotę 405, gdzie mieściła się kwatera dowódcy, a przedstawione tak, jakby każde miało być ostatnim, — to obiektywne ramy rozwijającego się dramatu. Silnie rozwinięty zmysł proporcji sprawia, że Pruszyński największe nasilenie dramatyczne umiejscawia gdzie indziej. Na sali szpitalnej, na postoju, w przerwie między frontowym działaniem się, tam gdzie niebezpieczeństwo fizyczne już nie istnieje, gdzie akcja wojny odbywa się w zwolnionym tempie.

Dramat ukazany przez Pruszyńskiego nie narodził się pod Narvikiem. Tam zostały tylko skupione wszystkie jego elementy, wszystkie siły konfliktu. Te siły, które wyzwołała klęska wrześniowa i które mogły się w pełni ujawnić na emigracyjnych szlakach. Przez skupienie ich na linii frontu Pruszyński ukazuje wymiar dramatu, przymierza dramat do dramatyczności samych, dziejących się właśnie wydarzeń.

Chociaż na wszystkich kartach książki widoczna jest tendencja doraźna, to znamię publicystyki, to jednak odwaga i rzetelność myśli chronią i tym razem Pruszyńskiego przed niebezpieczeństwem przejawienia. Dwa ukazane, zmagające się systemy polityczne istnieją w książce równie obiektywnie jak w świecie istnieją rzeczywistości, których one są wyznaniem.

Pod Narvikiem nastąpiło spotkanie dwóch polskich światów. Świat zachowawczy, przedwrześniowy, którego stylem życia i myślenia jest dryl i bezmyślna tępa dyscyplina, życie. (Pruszyński po ukazaniu go stara się osłabić wrażenie i z sierżanta Ziemiańskiego, najtypowszego jego przedstawiciela, robi folksdeutscha, szpiega niemieckiego). Ten świat nie jest tylko konstrukcją, wzorcem zacofania, okopem atakowanym przez ludzi postępu społecznego, ludzi nowego, przyszedłego sposobu myślenia i życia. Śmierć podchorążego Wolskiego, typowego „wojskowego” zawodowego, nie rozumiejącego przemian i niechętnego, nie ufającego tym cywilom w mundurach (robotnikom z Francji, inteligentom z kraju) — przejmuje najbardziej ze wszystkich w tej książce ukazanych śmierci. Posiada wymiar większy niż inne. Przeczenie śmierci wyodrębniające Wolskiego za życia wśród innych jest jednym z najsilniejszych wzruszeń, jakie Pruszyński w nas wzbudza.

My tutaj w kraju byliśmy od emigrantów ubożsi o jedną rozterkę. Byliśmy wolni od niepewności czy droga nasza do kraju nas zawiedzie. Nie mogliśmy wybierać losu, był nam narzucony.

A tam pod Narvikiem, a potem o ileż bardziej w Afryce, każda śmierć, którą mijali, każda ewentualność śmierci zmusza ich do przeżywania zwątpienia w jej użyteczność. Nie istniała dla nich nieodwracalność losu i decyzji, którą wystarczy raz powziąć. Każdego dnia muszą przekonywać się na nowo, że jeśli zginą, to nie daremnie.

I pomyśleć: nie o śmierć, ale o sens śmierci oodzi.

O ileż trudniej tam wymawiali się te słowa poety:

**A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec.**

Bo nie istniała tam zbiorowa świadomość tej potrzeby. Każdy we własnym sumieniu musiał postanawiać, każdy sam musiał decydować o swoim poświęceniu.

I to Pruszyński ukazuje doskonale.

Ludzie Pruszyńskiego nie są zindywidualizowani, są to przeważnie typy, schematy ludzkie. Widzimy ich ruchy, ich poszczególne reakcje, widzimy sytuacje, w jakich się znaj-

dują, lecz życie ich rozpoczyna się dopiero w chwili śmierci. Nie ludzie żywi, lecz ich śmierci są zindywidualizowane.

Tak jakby nie następowały na wojnie, jakby były uwarunkowane decyzją osobną, zgodą jednostkową. Nie liczą się one, żadna z nich nie jest tylko jedną ze strat wojennych. **Dzieją się.** Każda śmierć ukazana przez Pruszyńskiego jest aktem świadomości. Jakby nie zakończeniem życia, ale ostatecznym przewyciężeniem zwątpienia była przede wszystkim.

**A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec.**

Tak idą wszyscy. I Wolski i Płużański i Czeczela. Przypadkowe są okoliczności tylko. Śmierci są głęboko unotywowane. Dlatego nie zostawiają po sobie próżni. Miejsce tego, kto przewyciężył zwątpienie, musi zająć kto inny, następny. Bo dopiero przewyciężenie zwątpienia ukazuje właściwy sens życia. I właściwość poświęcenia.

Kierunek drogi, która wiodła przez Narvik, nie mógł mieć tylko geograficznego sensu. Musiał istnieć wyraźny cel, który byłby jednocześnie celem życia tego, kto tą drogą idzie. A ten cel, o którego ukazanie Pruszyńskiemu chodzi najbardziej, nie jest wyraźny. Trwa dopiero walka o jego oznaczenie.

Na sali szpitalnej, w rozmowie Kettlera z wziętym do niewoli lotnikiem niemieckim Gallenem toczy się walka bardziej dramatyczna od tej o Narvik. Niemiec rzuca argumenty jak bataliony czołgów, atakuje polski romantyzm, brak rozsądku politycznego. To, co jest największą dumą emigracji, wyrzeczenie i poświęcenie kadr inteligentekich wojnie — nazywa głupotą i krótkowzrocznością. W idealnym zjednoczenia narodu przez wspólną walkę wszystkich dostrzega tylko polski mistycyzm.

Wydaje się, że w rozmowie tej bierzemy udział. Nie śledzimy jej tylko, gdyż każdy argument Gallena ma siłę, której można przeciwstawić jedynie rozpacz. Przed myślą stają te najlepsze lata wojny, kiedy my w kraju i oni na emigracji zmagaliśmy się wspólnie z jednym wrogiem: ze zwątpieniem.

I wydaje mi się, że zwycięstwo, jakie u Pruszyńskiego odnosi Kettler nad Gallenem, jest zwycięstwem pozornym. Tak jak pozorne było zwycięstwo pod Narvikiem. Gallen pokonany został rozpaczą Kettlera, siłą jego nienawiści i zdecydowaniem, by walczyć mimo wszystko. Lecz idea! zjednoczenia i oczyszczenia, jaki przeciwstawił niemieckiej sile, wydaje mi się, że był istotnie mistycyzmem tylko.

Pruszyński potrafił przedstawić dramat pokolenia, które musiało walczyć ze zwątpieniem po to, aby umierać, potrafił ukazać wymiary tego zwątpienia. Cel natomiast, cel drogi, która wiodła przez Narvik, cel życia każdego, kto tą drogą szedł — jest zaledwie pragnieniem, niejasnym przecuciem.

Nas ani przedtem, ani teraz nie wzruszy powód do emigracyjnej dumy, że pisarz, sekretarz ambasady w Rzymie i malarz obsługujący cekaem razem z robotnikami z Francji i milicjantem spod Guadalałajara. Upatrywanie w tym oczyszczenia i zjednoczenia narodu wydaje się co najmniej przesadą. Cóż bardziej naturalnego?

Obawiam się, że pokolenie, które w kraju podczas wojny kształtowało swoje poczucie solidarności narodowej i społecznej, nie zrozumie Pruszyńskiego. Czeczela, który padł pod Narvikiem, może nie wzbudzić takiego uczucia tkliwości, na jakie zasługuje, w kraju, gdzie jego młodszy koleś, poeci i krytycy ginęli niezauważenie. Jakby się rozmyślnie śpieszyli, by ubiec zwątpienie. A śmierci ich były tak mało indywidualne i tak bardzo wiernie przeczyte przez poetę:

**A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie przez Boga rzucone na szaniec.**

Lecz my wszyscy, którzy nie wolni byliśmy od rozpacz i przeżywalimy ją tak jak się mimo wszystko przeżywa nieszczęście i śmierć najbliższą, my ludzie zwyczajni wrzuczymy się serdecznie tą książką, która ukazuje jak ciężką była droga, która wiodła przez większe niż nasze zwątpienie.

Zbigniew Bienkowski

Majakowski po polsku

Włodzimierz Majakowski. Dobrze! Poemat październikowy. Przełożył Artur Sandauer. Okładkę projektował Władysław Daszewski. (Łódź), „Książka”, 1945; 69 i 3 nl.

Określić w paru słowach krótkiego artykułu złożoną tajemnicę kunsztu poetyckiego, to zadanie trudne. Tym bardziej, jeśli jest to tajemnica poety tak w swej metodzie twórczej odkrywczej, jak był nim Włodzimierz Majakowski. Wymagałoby to dłuższego i zasadniczego studium o nim jako poecie, który przeniósł liryczny ośrodek wzruszeniowy z tradycyjnego poetyckiego wnętrza niemal na wiecowa trybuna, który nie pisał lecz mówił i to nie tonowanym szepem wyrafinowanego artysty, ale gwałtownym, brutalnym krzykiem. Krzyk ten ma swój oryginalny, niepowtarzalny rytm, rytm urywany, marszowy i poezja Majakowskiego wydaje się zawsze werblem kroczącej ulicami miast historii. Nie ma u Majakowskiego przyrody, nie ma

koloru, nieodzownych atrybutów tradycyjnej liryki rosyjskiej — i innych — symbolistów. Ale nie ma także zwiezłego abstrakcjonizmu awangardzistów, konstruujących wizję ze stosunku wzajemnie się przecinających płaszczyzn. Majakowski jest dzieckiem ulicy i miejskiego bruku i jego wizja posiada tylko jedną płaszczyznę: tę, na której rozgrywa się zacięta walka wydziedziczonych z uprzywilejowanymi, proletariatu z jego śmiertelnym klasowym wrogiem. Poezja Majakowskiego jest propagandą i agitacyjna. Ale jest najczystsza poezją dzięki niezwykłości oddechu, sile skojarzeń, dzięki ogromnemu bogactwu środków technicznych. Nie są one jednak czynnikiem sztucznym, lecz zrastają się organicznie z całym obrazem świata, gdzie nie jest przypadkowe, ale wszystko świadoma swojego celu rewolucyjną robotą.

Jeszcze jedną charakterystyczną rzeczą należałoby podkreślić w związku z budową stroficzną wierszy



Włodzimierz Majakowski

Majakowskiego. Jest to sprawa pewnego rodzaju optyki wiersza. Wiersz Majakowskiego otrzymuje zmienną rytmikę i wibrację dzięki specyficznemu optycznie układowi jego rządków. Ich budowa schodkowa, dziwna, nieraz zygzakowata linia profilu wiersza — decyduje o jego melodii. Gdybyśmy odczytali urywek:

„Wśród takich nocy, w takie godziny
Któż na ulice wychodzi?
Błąkać się wtedy może jedynie
Poeta albo złodziej”.

(„Dobrze!”, fragment 7)

„Wśród takich nocy, w takie godziny
któż na ulice wychodzi?
Błąkać się wtedy może jedynie
poeta albo złodziej”.

Od tej strony widziany układ jest nie tylko wskazówką reżyserską mówionej poezji Majakowskiego, ale także zdecydowanym i świadomym środkiem technicznym.

Udostępniony został obecnie polskiemu czytelnikowi jeden z większych utworów Majakowskiego: „Dobrze!” Jest to poemat stworzony w 1927 roku, w dziesiątą rocznicę rewolucji październikowej. Składa się on z szeregu fragmentów o rozmachu epickim. Ale nie jest to tradycyjna epika o nurcie rozległym, powolnym, z jej zwyczajnym, spokojnie — obiektywnym historyzmem. Jest to historia od strony indywidualnej, widziana nie przez dziejopisę ale poetę. Na jednym planie umiejscowione są rzędy Kiereńskiego, jego kontakty z kontrrewolucyjnymi generałami: Kornilowem i Kaledinem, przygotowania partii bolszewickiej do powstania, szturm na pałac Zimowy — a obok tego dwie marchewki, które poeta niesie spuchniętej z głodu ukochanej, szczypta zmoczonej soli, którą odważa siostrze i polano z polamanego płotu, przeznaczona na ogrzanie zlodowiałej klitki. Jest to historia nie obiektywna bynajmniej, ale namiętna, gniewna, pełna nienawiści do walącego się świata klasowych nierówności i entuzjazmu dla rodzącego się świata socjalizmu. Przepływający na wskroś przez poetę ciąg historii, która jest poezją i poezją będącą historią — zostaje wychwycony fragmentami, „cząstkami”, z których każda jest równie ważna. Pośpiech entuzjazmu nie pozwala na syntezę poetycką. Stąd nie ma u Majakowskiego gładkiej, płynnej melodyjności, lecz tylko rwane, ucinany rytm, który — nim zdąży przebrzmieć do końca — już zostaje zastąpiony i prześcignięty przez nowy, inny rytm. Radosć stawania się, twórcza rozkosz budowy nowego ustroju i konstruowania nowych dźwięków i obrazów poetyckich — prowadzi do całkowitej afirmacji trudnej rzeczywistości i do tego, że mimo głód, mimo zimno i nędzę pierwszego porolucyjnego dziesięciolecia poeta może wykrzyknąć ze siebie: „Dobrze jest!”

Przekład poematu Majakowskiego — jak i w ogóle jego i wórow — nastęrcza poważne trudności. Niezwykle bogactwo skojarzeń dźwiękowych, piękno i zachwycenie wersyfikacji, muzyczność nie pobrękująca takim efektem, ale o głębokiej wewnętrznej prawidłowości — oto elementy, które w innej mowie odtworzyć może tylko rzetelny twórca i poeta. Artur Sandauer pokonał wszystkie przeszkody w sposób pełen prawdziwie artystycznego umiaru. Zauważyć całą szorstką dynamikę właściwego Majakowskiego męskiego liryzmu, umiętynie i w miarę możności ocalił kunsztowność aliteracji czy asonansów, tam gdzie trzeba było, okazał się odważnie twórczy, o własnych oryginalnych pomysłach. Ciekawy rytm daktyliczny („bazy ja” — „Azja”), ten sam akcent daktyliczny (na trzeciej głosce w połączeniu z asonansem i to asonansem złożonym („darować im” — „carowej my”), daleki rytm złożony często w kombinacji z rytmem skróconym i przyspieszonym („wrze jeszcze” — „wrzeszczę”) — wszystko to są udatne i interesujące próby stworzenia tych odpowiedników rewolucyjnej poetyki Majakowskiego, których brak jest w wersyfikacji polskiej. Charakter oryginału z burzliwym, namiętnym, wiecowym niemal patosem, z iobuzerskim i sztyderym akcentem przekory uratowany został niemal w zupełności. Jeśli dodamy do tego jeszcze fakt (o czym dowiadujemy się z przedmowy), że autor przekładu dokonał — na pamięć, tłumacząc bez tekstu i bez ołówka, w lesie, w samotności, o mrozie i o głodzie, — z tym większym uznaniem musimy się odnieść do tej pracy. I ta geneza przekładu nie będzie dla jego wartości artystycznej obojętna. Zespolony najściślej z poetą przemówi do nas tym wymowniej tłumacz słowami, które powtarzał każdy cierpiący i walczący w ciągu zeszłego lat nocy okupacyjnej:

„Ziemie gdzie pachnie powietrze jak narcyz,
opuścisz i pisz na Berdyczów,
lecz ziemi, z którą pospołu marzę,
nie rzucić ci już póki życia”.

Henryk Vogler

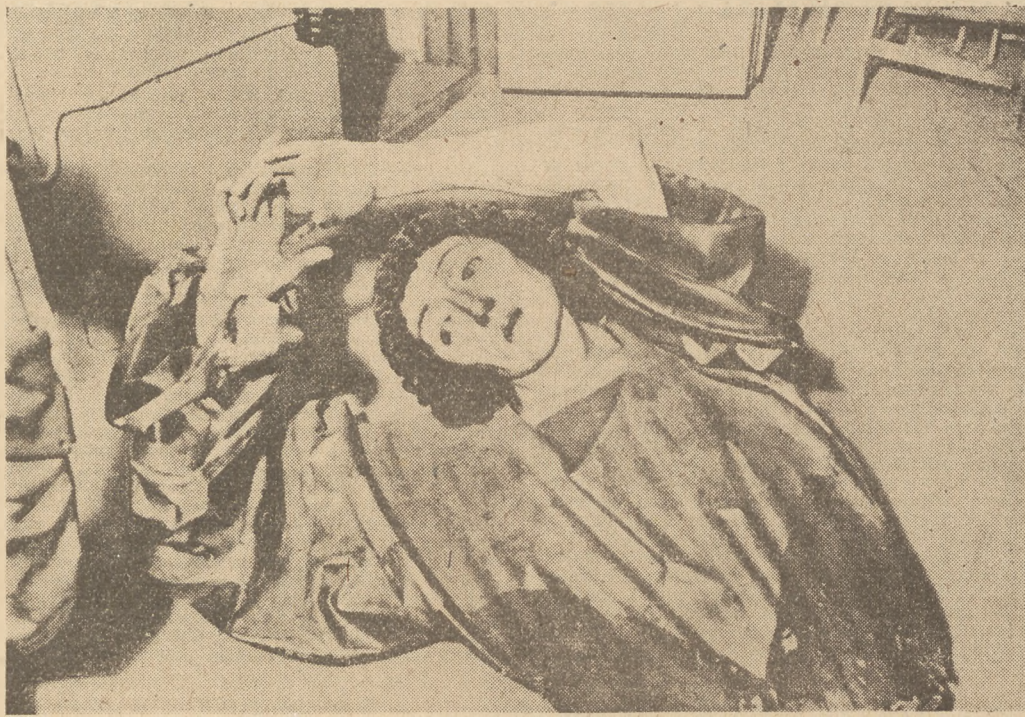
Szekspir był ssakiem

Jak ogólnie wiadomo, żadna filozofia nie obędzie się bez komentarzy. Podobny los spotkał też moją „Filozofię Leśmiana“ („Odrodzenie“ nr 59). Komentarzem zaopatrzył ją **awk** na łamach „Kuznicy“ (nr 3). Oprócz szeregu nierozwiązalnych dla **awk** kwestyj, jak np.: dlaczego kompozycję swej pracy oparłem na zasadzie heglowskiej trójki? (bo jej nie chciałem oprzeć na zasadzie pitagorejskiej siódemki); dlaczego porównałem „myśli zaprzeczono“ Leśmiana z ideami Platona, które wszak są „bytami obiektywnymi“? (bo idee te, percypowane przez umysł, stają się jednak zjawiskiem psychicznym); dlaczego zakończyłem studium wierszykiem w stylu Leśmiana? (bo chciałem rozzerwać strudzonego długotrwałą analizą czytelnika); obok wyrwanych na chybił trafił cytatów, którym **awk** zarzuca bezsensowność (bo ich nie doczytał), znajduję tam dwa godne rozważenia: o freudyzm i — o, zgrozo! — o estetyzm. Z wypowiedzianego przeze mnie zdania, że „w formie wyrażają się cechy naturalne i niejako mimowolne autora“, **awk** wysnuwa nagły wniosek, jakoby ja „przekreślił możliwość świadomej pracy pisarza nad formą“. Nego consequentiam! Objaśnijmy rzecz przykładem: w powieści Gogola „Martwe dusze“ występuje stary kutwa Piluszkina, który — wśród innych przejawów skąpstwa — listy pisze drobnym, prawie nieczytelnym maczkiem. Czy czyni to jednak rozmyślnie, by oszczędzić papieru? Bynajmniej. Jest to gest zupełnie naturalny, z którego przyczyn nie zdaje sobie sprawy. Podobnie — w dziedzinie literatury — forma, jakkolwiek tworzona świadomie, zdradza nieświadomione często cechy pisarza. Nie rna to nie wspólne z freudyzmem: ten bowiem dopuszcza nieświadomość w samych przeżyciach psychicznych, gdy my tylko — w ich połączeniu, w ich przyczynowym związku Sokratyczne „poznaj samego siebie“ byłoby niedorzecznością, gdybyśmy znali siebie w pełni: na szczęście dostrzegamy tylko aktualne zjawiska psychiczne, lecz nie ich wzajemne połączenia. „Chodzi o to, ażeby zbadać siły poruszające, które — świadomie lub nieświadomie — a nawet bardzo często nieświadomie — są ukryte poza pobudkami ludzi“ — powiedział słusznie Engels („Ludwik Feuerbach i koniec klasycznej filozofii niemieckiej“ Dzieła wybrane, t. I, str. 460). Że — w dziedzinie literatury — owe nieświadome pobudki wyrażają się raczej w formie niż w treści, wynika z prostego rozumowania przez wyłączenie: ponieważ w treści dochodzą do głosu tylko rzeczy przez autora zamierzone, gdzież zatem mogą się owe pobudki nieświadome wyrazić, jeśli nie w formie? Trzeciego miejsca nie ma.

Twierdzenie moje, że „jednolitość treści i formy świadczy o doskonałości dzieła“, **awk** z podziwu godną precyzją obala jednym zdaniem utrzymując, że nie ma ono sensu. W tymże samym jednak artykule chwali praktyczne osiągnięcia tej metody, przyznając, że „wnikliwie wykazałem wspólne cechy zawartości treściowych poezji Leśmiana i jego stylu“, przy czym nie dostrzega, że „wspólne cechy“ i „jednolitość“ oznaczają u mnie dokładnie to samo. Owa jednolitość nie jest bowiem niczym innym, jak stopniem organizacji dzieła, zgodnością między osobowością pisarza, a wyrażeniami przezeń poglądami. Krytyk powinien badać nie tylko ideologię wyrażoną explicitie w treści dzieła, lecz także zawartą implicitie w jego formie. Zarówno jedną jak i drugą należy zinterpretować: wykazać ich zbieżność lub — ewentualną — sprzeczność. Metoda ta wymaga co prawda dokładnej analizy stylistycznej, treściowej i żmudnego porównywania wyników obydwo. O ileż łatwiej — jak to uczynił np. Adam Ważyk w swym szkicu „O Norwidzie i norwidyzmie“ („Odrodzenie“, nr 16) — określić od razu stanowisko społeczne pisarza, by potem wypłynąć na szerokie wody socjologii. Nie potrzeba wówczas badać twórczości; wystarczy spojrzeć na metrykę i stwierdzić, że Norwid pochodził z drobnej szlachty i reprezentował drobnozlaszczykłą ideologię. Prawda, że — zamiast określić specyficzną indywidualność pisarza — rozpatrywamy ją wówczas w nieskończonej ilości jej podobnych, że nie dowiadujemy się niczego o Norwidzie, natomiast bardzo wiele o drobnej szlachcie. Lecz po cóż zajmować się tak nieznaczącym, jak Norwid zjawiskiem, gdy można swobodnie operować masami? Przyszło mi na myśl — nie wiem czemu — studium o Szekspirze, którego autor po uczonych dociekaniach dowiódł, że poeta angielski należał do typu kregowców (gromada ssaki). Było to bardzo ciekawe!

Artur Sandauer

Rzeźba Włta Stwosza z kościoła Mariackiego w schronie norymberskim



PRZEGLĄD PRASY

Obecnie nie ma dziedziny aktywności ludzkiej bardziej przykuwającej uwagę niż nauka. Nauka wpłynęła na dzisiejszy układ sił w świecie, ona — to jest pewne — zadecyduje o dalszym bytowaniu ludzkości. Ludzie nauki będą się coraz bardziej wysuwali na czoło społeczeństwa. Dlatego śledzenie rozwoju myśli oraz postawy uczonych winno być już nie tylko przywilejem, ale obowiązkiem.

W Polsce nauka wyszła z tej wojny bardzo osłabiona. Tak przez ubytek uczonych, jak i przez odizolowanie ich od wielkich wydażeń i rozwoju nauki świata. Periodyki naukowe ukazują wyraźnie to zagubienie się, pozostawanie w kręgu spraw drobnych oraz rozproszenie się zainteresowań. Dlatego wydarzeniem było ukazanie się „Zycia Nauki“, pisma, które postawiło wyraźnie zagadnienie metody naukowej i konsekwencji jej przyjęcia.

Obecnie właśnie z tego, najistotniej życiowego punktu widzenia, zwraca na siebie uwagę „Nauka i Sztuka“, pismo, które dotychczas dawało wyraz jedynie rozproszeniu zainteresowań, spowodowanemu okupacyjną izolacją.

W trzecim zeszycie „Nauki i Sztuki“ (z stycznia) uwidoczniły się już tendencje, które pozwalają wnioskować o dalszym zamierzonym rozwoju pisma, a jednocześnie, co jest ważniejsze, o postawie jaką humaniści polscy zajmują wobec rzeczywistości.

I rzecz charakterystyczna: jeśli młode pokolenie naukowców (Żółkiewski, Chojnowski np.) stoi na stanowisku empiryzmu, sprawczości i wyklucza, jakiegokolwiek byłoby ideowe różnice, kompromis jako rezygnację z racjonalizmu, „starzy“ uczeni nie usiłują wyrzekać się przyzwyczajaj, choćby miały one antynaukowy charakter.

Należy podkreślić jeszcze, że nurt nauki europejskiej, który dopływa do nas z Francji, jest właśnie bezkompromisowo racjonalistyczny i tworzenie się żywego środowiska racjonalistycznego w Polsce jest odpowiednikiem ruchu nowo-encyklopedystycznego we Francji, gdzie „odrodzenie“ skupia najwybitniejszych uczonych wszystkich dziedzin.

Prace Bogdana Suchodolskiego („Idea mitu“) oraz Tadeusza Czappczyńskiego („Wielodrożność twórczości Marii Dąbrowskiej“) zamieszczone w „Nauce i Sztuce“ winny zwrócić na siebie baczną uwagę. Podnoszą one bowiem manifestacyjnie (Suchodolski) lub dyskretnie (Czappczyński) walor irracjonalizmu i ingerują konieczność jakiejś syntezy nie systemów, ale przeciwnych, nie do pogodzenia, metod.

B. Suchodolski dowodzi ograniczonej a nawet bezzasadności osiemnastowiecznego racjonalizmu z tego powodu, że rozgraniczył on prawdę od nieprawdy, negując wartość wszystkich zjawisk niesprawdzonych doświadczeniem i nieudokumentowanych rozumem. To, co sprawa, że wiek oświecenia jest miejscem wyjściowym dla myśli nowoczesnej, autor „Idea mitu“ uważa za hamulec w rozwoju intelektualnym ludzkości. Suchodolski wraca na teren przednaukowy, przyznaje mitowej wartości równą prawdzie dowiedzionej po to, by czynnikowi emocjonalnemu przejawiającemu się w religii oraz w ogóle w „potrzebie“ wiary przyznać rangę równą umysłowej. Synteza, jaką on proponuje, miałaby ogarnąć wszystkie systemy naukowe oraz skłonności emocjonalne.

Uwagi rozsiane w bardzo zresztą interesującej pracy T. Czappczyńskiego o Marii Dąbrowskiej uzupełniają ideologię pisma. Stwarzają sugestię niemożliwości uniknięcia czynnika irracjonalnego (wiary, podświadomości intuicji) w współczesnym poglądzie na świat. To zadeklarowanie się jest dla „Nauki i Sztuki“ o tyle szczęśliwe, że pismo ma wreszcie oblicze. Ujawnił się wreszcie powód, dlaczego w dwóch poprzednich numerach re-

dakcja tak stroniła od bieżącej problematyki kulturalnej.

Żeby z tym skończyć, należy, wydaje się, podchwycić jeszcze jedną tendencję „Nauki i Sztuki“, która może do pewnego stopnia tłumaczyć postawę ideową pisma. „Nauka i Sztuka“ ciąży do polskiego środowiska naukowego znajdującego się na emigracji (przedruk, zresztą szczęśliwy, z „Nowej Polski“, pracy W. Weintrauba, omówienie, również interesujące, londyńskiego wydawnictwa „The Nazi Kultur in Poland“). Ciężenie to uniemożliwia zespoleniu „Nauki i Sztuki“ zrozumiem przemian dokonywających się w kraju.

Atrakcyjność „Nauki i Sztuki“ bezsprzecznie wzrasta w porównaniu z dwoma zeszłymi poprzednikami. Upřednio zamiar uzewnętrzniony w tytule realizowany był mechanicznie przez publikowanie prac z dziedziny nauki i sztuki (właściwie: nauki i literatury) bez istotnego związku między nimi. Trzeci zeszyt nie zawiera już oryginalnych utworów artystycznych (do których redakcja jakoś nie miała szczęścia), przynosi natomiast prace z dziedziny teorii sztuki oraz artykuły w sposób naukowy systematyzujące twórczość artystyczną. Pierwszą hierarchiczną pozycją pisma jest pasjonująca praca Romana Ingardena „O dziele architektury“. Autor dodaje nowe argumenty do swojej teorii sztuki wyłożonej w książce „O poznaniu dzieła literackiego“. Pracy Ingardena nie podobna stracić, gdyż ani jedno słowo nie jest w niej zbędne, by można je było, referując poglądy autora, ominąć lub innym zastąpić.

Dziedzina sztuki, której uprawa jest w Polsce najbardziej zaniedbana, to muzyka. Między twórcami a odbiorcami jest przedział, który nie ma odpowiednika ani w poezji, ani nawet w malarstwie. Po prostu tak jakby wrażliwość na muzykę nie była w społeczeństwie rozbudzona. Dlatego tak wielką wagę posiada organizacja oraz opieka państwa. Trzeba zdawać sobie również sprawę, że twórczość muzyczna jest absolutnie nieopłatna i taką przez długi jeszcze okres pozostanie. Tym bardziej, że oczekuje nas odrobienie zaległości co najmniej stuletnich. Brak nut, orkiestr i co najważniejsza brak słuchaczy. Wydawnictwa muzyczne, szkoły muzyczne oraz umuzykalnienie społeczeństwa przez wdrożenie go wszystkimi sposobami do umiętności słuchania — oto zadania nielatywne.

Organizacja życia muzycznego w ciągu niewielu miesięcy wiele dokonała. Istnieje już żywy ośrodek muzyczny.

Powstało Państwowe Wydawnictwo Muzyczne. Posiada ono już około 60 zrealizowanych pozycji, które obejmują wydawnictwa z zakresu upowszechniania muzyki oraz przeznaczone dla estrad koncertowych. Oprócz dalszych wydawnictw nutowych przewidziane są książki z dziedziny historii i teorii muzyki.

Istnieje Centralne Biuro Koncertowe w Warszawie, które zmagając się z trudnościami finansowymi organizuje koncerty. Istnieje Ludowy Instytut Muzyczny, z centralą w Łodzi, zajmujący się szkoleniem muzyków oraz organizowaniem lotnych zespołów koncertowych. Polskie Radio przystosowuje swój program do popularyzowania muzyki wartościowej. W przygotowaniu jest uruchomienie fabryki płyt gramofonowych, której 80% produkcji obejmie muzykę poważną.

Lecz upowszechnienie potrzeby muzyki, rozbudzenie wrażliwości w całym społeczeństwie, to sprawa czasu i wysiłków. Uświadamianiu inteligencji, zbliżaniu jej do spraw muzycznych, teoretycznemu szkoleniu muzycznemu — służy dwutygodnik „Ruch Muzyczny“. Pismo jest redagowane żywo (przez Stefana Kisielewskiego), zawiera wiele materiału zapoznającego z problematyką muzyczną i winno trafić do wszystkich, którzy wrażliwość swoją na sztukę pragną rozszerzyć. **zb**

Jubileusz rozgłośni krakowskiej

Utarło się przekonanie wśród publiczności, skazywanej na uczestniczenie w uroczystościach jubileuszowych, bądź z obowiązku, bądź ze snobizmu, że są to nudne pły, nieodmiennie kończące się bankietem, i o tyle tylko godne uwagi. Bywają jednak i jubileusze interesujące, a do takich należały uroczystości związane z pierwszą rocznicą uruchomienia rozgłośni krakowskiej. Bez nadmiernej celebrowania, skromnie i po prostu, dyrekcja rozgłośni zebrała w salach swego budynku przy ul. Wróblewskiego przedstawicieli władz i świata literacko-artystycznego i pozwała im się wygadać. W części oficjalnej przemawiali kolejno — wojewoda krakowski dr Pasenkiewicz, prezydent miasta Wolas, dyrektor rozgłośni krakowskiej Szor i naczelny dyrektor programowy Polskiego Radia Młynarski. Ze słów wszystkich mówców była satysfakcją z już osiągniętych rezultatów na tym odcinku pracy, którego owocność właśnie świętowano, i szczerą troską o tym chlubniejszą przyszłość polskiej radiofonii. Nie mogło być w tym nie rewelacyjnego, ale już wystarczająco, że ta część uroczystości miała przebieg gładki i nienagany.

Punktem szczytowym zainteresowania, zwłaszcza dla ludzi pióra, było nadanie ciekawego i zresztnie podanego słuchowiska Józefa Mayena „Zwycięska fala“ w trafnej i pomysłowej reżyserji Jerzego Konrada-Bujańskiego. Nowością dla nas, biernych uczestników misterium — było to, żeśmy się znaleźli jak w jakimś molierowskim teatrze — wśród aktorów i mogliśmy poznać „kuchnię“ tej inteligentnej roboty artystycznej.

Trzecią „Zwycięskiej fali“ jest zwycięstwo pały polskich konspiratorów Jana i Bronki nad niemieckim żandarem, który chciał ich ująć i zniszczyć, a sam padł od kuli, bliski ataku sercowego i „ziamany“ komunikatem moskiewskiej radiostacji o zwycięstwie pod Stalingradem. Schramm w interpretacji Janusza Ziejewskiego, podstępny, gwałtowny i brutalny, był postacią nader plastyczną, żywą, szwankował tylko w opanowaniu niemieczyny; świetnym bekowym kapusiem Alojzym był Józef Karbowski, szlachetną parę Jana i Bronki odtworzyli bez zarzutu — Wacław Nowakowski i Celina Niedźwiecka. Doskonałe epizody — pianego żołnierza i speakerów, angielskiego i niemieckiego z Moskwy — miał Antoni Wichura, sugestywny w akcentach i modulacji głosu. Siedzieliśmy w tym półteatrze jak urzeczeni i kiedy się skończyło, chcieliśmy słuchać dalej.

Potem pokazali nam jeszcze gospodarze imprezy, obwożąc nas autokarem, radiowej Borek Fałęcki, jakże ważny dla udostępnienia radia wsi, oprowadza nas po chatkach i domkach, gdzie za „jedną“ 350 złotych może wnieść dzięki głośnikowi być w mieście i w świecie.

mpz

Wielkosłowie

W „Dzienniku Łódzkim“ ukazały się następujące rewelacje o laureatce nagrody Nobla, Gabrieli Mistral:

„Z prasy zachodniej przedostają się coraz ciekawsze szczegóły o nowej laureatce Nobla, Gabrieli Mistral. Jej nazwisko autorskie jest pseudonimem. Panna Mistral nazywa się właściwie Lucylla Godoy, liczy obecnie 56 lat i przyszyła na świat w zagubionej wsi chilijskiej, Vicunia. Jej dziadek był zwyczajnym poganiaczem bydła w prejach argentyńskich, po czym wymigrował do republiki chilijskiej. Ojciec, przeznaczony na księdza, nie skończył seminarium teologicznego i poświęcił się pracy nauczycielskiej na wsi. Był to człowiek b. inteligentny, pełen wdzięku i wybujałego temperamentu. Szare życie ogniska domowego nie odpowiadalo jego romantycznym marzeniom. Opuscił rodzinę i ruszył w świat. To też dzieciństwo przyszłej laureatki na tle rozbitej rodziny było bardzo ciężkie i smutne.

Pierwszy zew poezji obudził się w małej dziewczynce nader wczesnie, gdy zaledwie zdolała opanować sztuki czytania i pisanja.

W 16-ym roku życia młoda poetka zostaje nauczycielką i poświęca się temu niewdzięcznemu zawodowi z wyjątkowym zamiłowaniem. Wkrótce potem przychodzi miłość — płomienna, ekstatyczna i tragiczna. Narzeczonego, którego poetka zaczęła podejrzewać o niestałość, narafił na nieugiętą dumę młoczenia ukochanej. Zrozpaczony nieomocniła porozumienia się z najdroższą mu na świecie istotą odbiera sobie życie. Dla panny Mistral był to cios ponad wszelki wyraz okrutny i decydujący.

W tych najcięższych dniach życia laureatki „poziła się bania jej poezji“ i przyszło subtelne ukojenie rymu i rytmu. Powstały wówczas szereg wierszy wydanych pt. „Sonety śmierci“, zawierających najpiękniejszą lirykę, jaka kiedykolwiek powstała w Ameryce Południowej. Według opinii krytyki iberyjskiej — mogą one śmiało rywalizować z twórczością Ruben Dario.

W ciągu dosłownie jednego dnia „Sonety śmierci“ wysunęły autorkę na czoło poezji całej Ameryki. Kariera wiejskiej nauczycielki uległa radykalnej zmianie. Przede wszystkim powołano ją na kierowniczkę liceum w Santiago. Na tym stanowisku poetka zyskała sobie w krótkim czasie opinię znakomitej przełożonej, czulej na nędzę i wszelkie cierpienia ludzkie.

Z kolei powołano ją do Meksyku, gdzie ufundowała liceum, szcyczące się do dziś dniami jej głośnym imieniem i gdzie w dziedzinie szkolnym wdzieniał uczniowie własnym kosztem wzniesli jej pomnik, jako idealnej wychowawczyni dusz młodego pokolenia.

Następny etap kariery przyszłej laureatki — to nader owocna działalność w Międzynarodowym Instytucie Współpracy Intelektualnej przy Lidze Narodów w Genewie. Dalszy pobyt w Europie jest wypełniony funkcjami konsularnymi Republiki Chilijskiej w Genui, Nicei wreszcie w Rio de Janeiro, gdzie obecnie piastuje godność generalnego konsula.

Pierwszy zbiorowy tom znakomitych liryk Gabrieli Mistral pt. „Sprawienie“ ukazał się w r. 1923. Tom ten, między innymi, zawiera słynne dziś „Sonety śmierci“. Główna osnowa tego zbioru, to motyw boleści i cierpienia na tle tragedii miłosnej, którą poetka ujmuje w słowach następujących: „Jest to potężny wiatr Boży, który poszarpał moje ciało i uniósł w świat kawałkami. To są ręce na krwawych ranach Chrystusa położone“. W tym tak znamienym dla hiszpańskiej psychiki patetycznym sprawieniu poetce pozostała jako jedyna pociecha wieczysta noc wewnętrzna i zupełne oczyszczenie duchowe, przypominające słowa Dantego: „Czysty i gotów wylecieć na gwiazdy“.

Ponury ten tom, pełen stygmatów bólu, grozy i patosu, koczy poetka następującą suplikacją i wyznaniem: „Oby Bóg przebaczył mi tę księga pełną gorczychy! Oby ludzie znający siodły życia przebaczyli mi ją również! W moich poezjach krwawi się przeszłość bolesna, zostawiam ją w ciemnej dolinie i oddaję pnie się przez łagodniejsze pagórki ku piaszkowym duchowym, których światła rozjaśniać będą przeznaczone mi dni i noce“.

Wpływ Gabrieli Mistral w całej Ameryce szczególnie zaś w Ameryce łacińskiej, jest ogromny. Młode pokolenie ubóstwia ją bezgranicznie i czepi się jej poezji wiarę w wyższe postannictwo duchowe człowieka.

Gabriela Mistral nie jest wyznawczynią jakiejś specjalnej doktryny, gdyż życie dla niej jest zbyt uniwersalnym zagadnieniem moralno-wzruszeniowym. Jednak, mimo wszystko laureatka jest zdecydowana socjalistką i chrześcijańką. Oczywiście jej socjalizm jest raczej manierą uczucia, niż intelektualną.

Dobie rewolucyjnej Gabrieli Mistral daje tylko współczucie i wspomnienia. Ludzimi pozbawionym uczuć niesie w ofierze szczytki poszarpanego serca. Ludzimi pozbawionym miłości może ofiarować tylko jej stygmatyczne ruiny. To jednak, że młodemu pokoleniu uczęca światła walary w wysokie postannictwo duchowe ludzkości, stanowi olbrzymi walor jej niezwykłej poezji.

Od 10 lat Ameryka łacińska oczekiwala niecierpliwie nagrody Nobla. Proponowano wielkie i głośne w całym świecie nazwiska. Komitet Noblowski, wybierając Gabriela Mistral, uczcił tym razem najwyższe sumienie duchowe Nowego Świata.

R. Z.